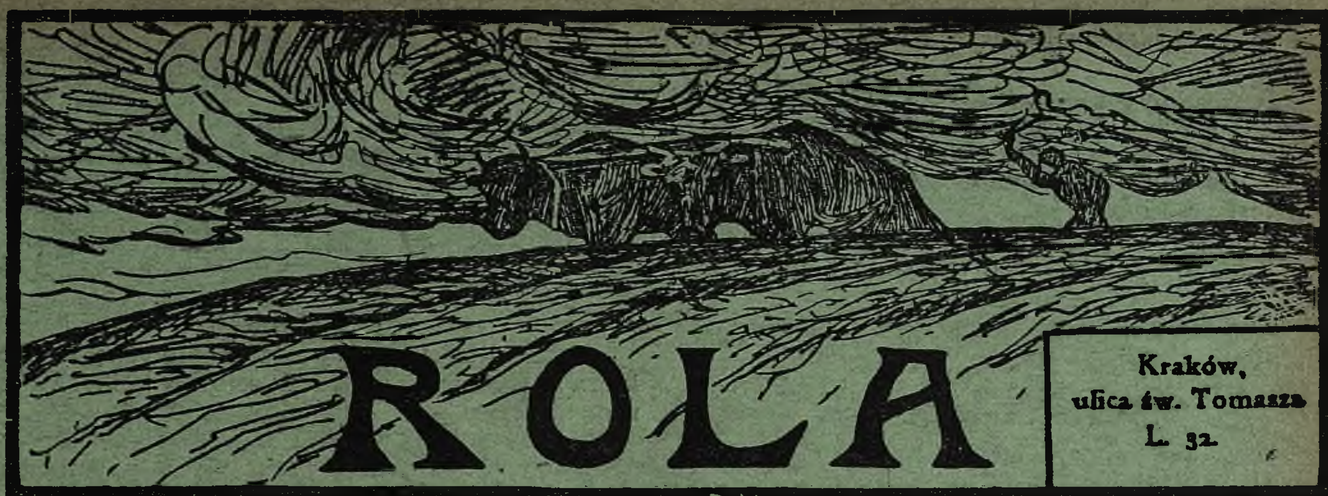
Numer 29. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 19 Lipca 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Jest czego żałować.

Jakiś całkiem mały berbeć stoi na ulicy i rzewnie płacze:

— Czego płaczesz maleńki? — pyta nadchodząca starsza pani.

— Bo, proszę pani, u nas dzisiaj na kolację — mówi malec wśród szlochania — jest szarlotka z jabłek i tort orzechowy.

— Ależ to nie jest powód do płaczu.

— Tak, ale ja nie mogę trafić do domu.



Miłośnik zwierząt.

— Czy lubi pan zwierzęta?

— O, bardzo!

— Które najbardziej?

— Zająca z buraczkami.



Nie warto.

— Bój się Boga Stefciu — rzecze nauczycielka — masz już lat piętnaście i nie potrafisz napisać bezbłędnie własnego nazwiska?

Stefcia: A czy się to opłaci? Za kilka lat wyjdę zamąż i będę się znów nazywać inaczej.

Z tajemnic małżeńskich.

— O... coś macie prawy policzek jakiś bardzo napuchnięty?

— Trudna rada, moja żona używa lewej ręki!



Dał nauczkę.

Henryk Rzewuski, znany autor „Listopada", był pewnego razu na polowaniu w towarzystwie księcia rosyjskiego. Obok pobliskiej zagrody ujrzano świnię, która klęcząc, podkopywała się pod parkan. Jeden z Moskali dworaków odezwał się:

— Ta świnia jest napewno katoliczką...

— Bezwątpienia, Gdyż wszystkie inne, które znałem, były prawosławne — odparł spokojnie Rzewuski.



Litościwe serce cygana.

Sędzia mówi do oskarżonego Cygana:

— To wy za to, że gospodyni was nakarmiła, ukradliście jej jeszcze w biały dzień dwie najtłuściejsze gęsi?

— Ja ukraść? — odrzecze Cygan. — Niech mnie tak Bóg ukarze na tem miejscu, jeżeli to prawda. Same leciały za mną te gąski, skubały mnie po spodniach, szczebiotały, nie chciały mnie nijak puścić, tylko żebym je wziął ze sobą. Jakże było nie mieć litości nad taką poczciwą gadziną?

Przed oknem sklepowem.

Ona: Który kapelusz podoba ci się najlepiej?

On: Ten, który masz na głowie.



Zmiana.

Jakiś litościwy pan daje jałmużnę kobiecie, która z trudem popycha krzesło na kółkach z chorym mężczyzną.

— Czy daleko musicie zawieźć swego męża?

— Ach nie, proszę pana, my się zmieniamy: potem ja usiądę, a on będzie pchał.



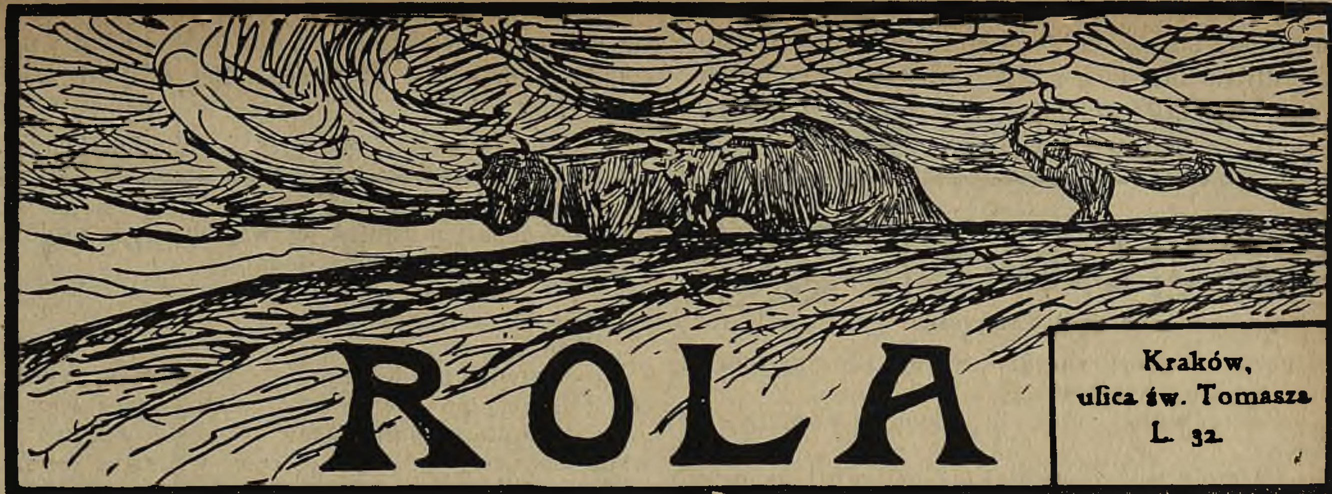
Słuszna przyczyna.

— Choć grosik, litościwa osobo!

— Macie, ale czy nie możecie pracować?

— Móc tobym coprawda mógł, proszę wielmożnej pani, ale na chęci mi zbywa.

Numer 29. Rok XIV. Kraków, dnia 19 Lipca 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Ciernista droga.



Świat, życie ludzkie jest jakby jednem nieustannem, bardzo interesującem przedstawieniem. My wszyscy w przedstawieniu tem bierzemy udział. Dzień urodzin powołał nas na scenę, śmierć, darń cmentarna, mogiła zwolni nas z niej kiedyś. Na tej scenie życie takie mnóstwo zdarzeń, rzeczy wesołych, a więcej jeszcze smutnych tragedyj się odgrywa, że w przedstawieniu opowiadania, zbytecznem jest uciekanie się do rzeczy zmyślonych, powstałych tylko w wyobraźni piszącego. Wprost z wielkiej skarbnicy życia czerpajmy pełną garścią.

Przedstawienie, o treści patrjotycznej właśnie się skończyło. Zebrani licznie uczestnicy gorącemi oklaskami i słowami pełnemi uznania żegnali młodociane aktorki, uczenice miejscowej szkoły powszechnej.

Szczególniejszą uwagę i sympatję uczestników zwracało na siebie dziewczątko, odgrywające jedną z naczelnych ról, liczące około lat dwunastu. Wysmukłej, zgrabnej kibici, o pociągającej wzrok, ładnej, białej twarzyczce, jasnych, ruchliwych oczach, białych, jak len włosach, świetnie odgrywało rolę siostry powstańca polskiego, odbierało też najgorętsze pochwały. Zapewne miło było młodej dziewczynce być przedmiotem ogólnego, życzliwego zainteresowania się. Lecz jakże zmienne są życia koleje.

Doznała tego na sobie już na drugi dzień po niezwykłych powodzeniach nasza młodociana bohaterka, nazwijmy ją Lidją. Po odbytem przedstawieniu jedna z zawistnych koleżanek Lidzi, schowała zręcznie część wypożyczonego ubioru tak, że podejrzenie mogło paść na niewinną Lidzię. Plan podyktowany nienawiścią, czy chciwością, powiódł się. Posądzenie, rzucone przez zawistną a złą koleżankę na Lidzię, znalazło posłuch wśród jej otoczenia, następnie również u kierowniczki szkoły. Ta ostatnia, niepomna słów Nauczyciela Boskiego z Nazaretu: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni", nieczuła na łzy i ból niewinnego dziecka, przywołanej matce dziewczynki zagroziła policją i sądem, bo zaginiona rzecz przedstawiała znaczną wartość. Rozpoczęła się cicha, a przecież okrutna tragedja dziewczęcego serca. W nieszczęściu swem zwróciła się Lidzia do księdza katechety pewna pomocy i obrony, lecz i ta ostatnia nadzieja ją zawiodła i nowem bólem młode napełniła serduszko. Ksiądz już pierwej był uprzedzony o zajściu.

Srogi los rzucił w tym czasie ojca dziewczynki na daleką obczyznę, matka aż nadto miała kłopotów — i nikt nie stanął w obronie słabej, niewinnej, pokrzywdzonej...

Po trzech dniach zguba się znalazła, lecz Lidzię posądzono o podrzucenie rzeczy. Mimo braku przekonujących dowodów winy, niewinna została uznana winną. I modlitwa nawet zdała się zawodzić ufające, a tak smutne serduszko dziewczęcia. Zapewne wówczas wyrywała się z jej młodocianego serca niema, pełna bólu pieśń zwątpienia, czy Bóg ją usłyszy:

„Czy wy myślicie, że z ust waszych skarga,
Jakieś marzenie wieczności potarga,
I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity,
Aż Bóg się zbudzi ukryty.
Och! świat zbyt wielki, wy na nim zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni."
Marja Konopnicka.

Na piąty dzień dziewczynkę wydobyto martwą z wody, prawda, jakie to zajmujące i sensacyjne byłoby opowiadanie? Bogu dzięki, tak nie było. Nasza bohaterka, mimo niesłusznych i tak bolesnych posądzeń żyje, pracuje i czuje się podobno nawet zadowoloną z życia...

Prawda, mijały dni, tygodnie we łzach i bolu, mijały długie miesiące i lata. Otoczenie zapomniało już dawno o tak „błachem“ dla innych zdarzeniu. Zdarzenie to przecież krwawemi wyrazami wyryło się w sercu dziewczęcem, a ból i żal do ludzi pozostał w niem nawet po latach... Resztę dośpiewajmy sobie sami...

Jan Pelczar.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Tłumiony płacz zaczął piersią Halszki poruszać — ale się wzmogła.

— Panie wuju — ja nie wiem o niczem... — szepnęła.

— Patrzcie ją! — zaśmiał się hetman — a pewnym był, że ci w oczko wpadł Plichcik.

— Nic mi do niego — odpowiedziała z wysiłkiem Halszka.

— Nic! — zawołał uradowany Jasinowski.

— To trudno! miłowania nie nakazać — ciągnął hetman — choć pan rotmistrz wzdycha tam do waćpanny i pragnąc jej serce zasługami rycerskiemi pozyskać, nie wrócił do dom, lecz na Kantemira poszedł.

— Na Kantemira? — zawołał Jasinowski.

— Przecz się próbował z nim — i zmógł.

— Drugi raz się nie uda — to pewniejsze niż w pacierzu amen, o którym czasem zapomnieć można.

— Waleczny, prawy — mówił hetman — a względom waćpanny polecić się przezemnie prosił. Zacny ród, a żeś waćpanna mu nie krzywa — wiem o tem!... Hm! mruknął — pewnym był, że serce twoje, panno Halszko, zaprószył ten kawaler.

— Nie — nie, panie wuju!... — odpowiedziała Halszka.

— Skąd ona takiego rozumu nabrała? — szepnął do siebie Jasinowski.

Rozmowie tej przysłuchiwał się Jerzyk. Pytania hetmana napełniały go trwogą, odpowiedzi Halszki miały słodycz balsamu i dziwne sny rozbudzały w sercu młodzieńca.

— Rozkaż — szeptał a i ja w oczy Krwawemu Mieczowi skoczę i miłowanie twoje krwią własną okupię!...

Halszka odpowiadała na pytania hetmana, zadając gwałt prawdzie. Im coraz dalej Plichta usuwał się od niej, tem miłowała go więcej, lecz już do onej miłości przyznać się dziś nie chciała, choć słowa hetmańskie przyprawiły ją o zawrót głowy, choć słaby promyk nadziei w jej sercu rozbudziły, bo Plichta myślał o niej, mówił o niej i słowa pamięci przesłać kazał. Ale listy do Admy pisane, to ślubowanie jej?...

— Marychno!... — jeżeli mnie oszukują?... — zawołała, gdy sama jedna w pokoju z Marychną się znalazła.

I nie wiedziała sama, gdzie prawda — prawdą tylko był ból, było cierpienie i łzy zalewające jej oczy.

Słowa Halszki, wyrzekającej się miłości do rotmistrza, a powtórzone przez Jasinowskiego Admie, zdziwiły, lecz i uradowały zarazem Mitrasównę. Czarne oczy pięknej kobiety błysnęły, a lica żywym oblały się rumieńcem.

— Miłą mi waćpan przynosisz wiadomość — odezwała się. — Więc panna Halszka wyrzekła się miłowania?...

— Tak to jakoś wypada — odpowiedział Jasinowski.

— Waćpan musiałeś jej wspomnieć o mnie? — z jakąś pewnością siebie dodała.

— O tem jeno, że wam pan rotmistrz ślubował.

— I to ją zraziło... a!

Zaśmiała się.

— Dziwne miłowanie jest niewiast waszych — odezwała się po chwili, ramionami wzruszając. To, coby we mnie rozpaliło krew — na nie wpływa jako strumień wody zimnej: to, coby wzmogło we mnie pożądanie — ostudza je i na bok usuwa. To wasza panna Halszka nie umie miłować, ale tem lepiej — dla niej.

— I dla mnie — szepnął Jasinowski.

— Czy czasami wy nie macie się do niej?

Pan Symforjan łeb potarł.

— Przyznam się waćpannie — rzekł po chwili — że niby tak!

Adme z przymrużonemi oczyma, z nawpół drwiącym uśmiechem patrzyła na Jasinowskiego. Nie wiedzieć dlaczego w myśli jej stanął owoc granatu, który łupinę twardą a pogiętą ma, barwy złoto-żółtej jest, gdzieniegdzie buraczanymi jeno rumieńcami poplamiony. Pan Symforjan wydał się jej do tego owocu podobny, a był i słodkawo-nudny, jak on. Lecz rada była, że się wypowiedział przed nią; mogli teraz z uczuciami swojemi nie ukrywać się, tembardziej, że Mitras, odurzony wonnym dymem nargili, zajęty obrachunkiem rosnącego wciąż bogactwa, na poły czuwał, na poły drzemał, kiwając się na swojej tureckiej otomanie. Wreszcie wypuścił ogromny kłąb dymu i oczy do góry podniósł.

— Miljon!... — szepnął.

I już tak w błogiem zachwyceniu pozostał.

Adme nie spuszczała oczu z Jasinowskiego.

— Dobrana z was będzie para — wycedziła przez zęby. — Wam czas trochę krew zmroził, pannie Halszce natura poskąpiła ognia. Nie oparzycie się...

Jasinowski obruszył się.

— No, nie tak bardzo, jako się to wam widzi, ugryzł mnie czas.

— Dobijajcie targu — ciągnęła Adme — bo dopóki panna Halszka kornetu na głowę nie weźmie, ja spokojna nie będę.

— Jako i ja, dopóki wy Plichty nie ułapicie.

— Kostek... — szepnęła Adme, zapadając w półsenne marzenie.

Pochyliła się w tył nieco, uśmiech rozkoszny do ust jej przytulił się, pierś silnie zaczęła falować, ciemna zasłona rzęs opuściła się na oczy, a serce w rytm marzeniom zaczęło uderzać, marzeniom z płomieni i ognia wydmuchniętym. Jasinowski siedział, oddalony o krok od niej, a czuł ciepło jej ciała, palący oddech ust, żar krwi. Powoli pot zaczął mu z czoła ociekać, a w gębie się pełno zrobiło; doznał lekkiego zawrotu głowy.

Nagle Adme drgnęła i obudziła się.

— Fu! — dmuchnął Jasinowski, przychodząc także do siebie.

Mitrasówna spojrzała na pana Symforjana. Czerwony był, jak księżyc o wschodzie. Zmarszczyła brew, ale wnet przez usta jej przebiegł uśmiech zadowolenia. Podniosła się, to samo Jasinowski uczynił.

— Czy Kostek może mnie nie miłować? — spytała.

— Niech go Tatar ubije — głupi jest! — zawołał pan Symforjan.

W tem odezwała się kołatka u wrót domostwa Mitrasowego.

— Pst! — szepnęła Adme. — Co to za gość o tak spóźnionej godzinie do wrót się dobija?

Kołatanie się powtórzyło raz, drugi i trzeci.

— Może ogień!...

Podbiegła do okna.

W komnatach było cicho, na dworze cicho; płomień lampy, w alabastrowej kuli ukryty, drgał lekko i migotał w złoceniach ścian. Wśród ciszy, nieprzerywanej szelestem żadnym, głos młotka rozchodził się złowieszczo, niecierpliwa dłoń czyjaś uderzała coraz gwałtowniej, coraz potężniej, jakby liczyła się z każdą minutą, z każdą sekundą dnia.

— Jezus, Marja! — szepnęła Adme. — Oby nie jaka zła wieść!...

Cień biały okrył twarz przed chwilą rozpłomienioną, a oczy niepokojem spojrzały.

Kołatanie się wzmogło.

— Jarucha śpi, a tam ktoś gwałt podnosi!... — szepnęła.

Lecz oto wrzeciądze opadły i słychać było zgrzyt przykry wrót otwierających się. Na brukowanym dziedzińcu zadudnił tentent kopyt.

— Kostek! — krzyknęła Adme.

I jak szalona wyleciała z pokoju, przebiegła jedną, drugą komnatę i ku schodom się rzuciła. Serce jej biło mocno, w piersi brakło tchu.

Drzwi wchodowe otwarły się...

Jakaś mała, potworna postać wtoczyła się do sieni, a dojrzawszy Admę, ze schodów zbiegającą, skoczyła ku niej i do stóp przypadła.

Był to Gił-Guła.

— To ty? to ty?... z powrotem — rzekła.

— Ja, pani!... — wybełkotał karzeł zdyszany.

— Sam?... — spytała Adme.

— Sam i ledwo żyw. Alem gnał — jak wiatr.

— Pan twój?

— W Kantemira ręku... ratujcie!...

I nic już mówić nie mógł.

W twarzy karła znać było zmęczenie śmiertelne; widać, że nie spał dni całe i noce, Zaś żywił się jako ptak niebieski się żywi, że gnał od pobojowiska strachem wielkim pędzony, nie po to, by wieść zabójczą przynieść, lecz po to, by ratunku poszukać. Oczy zapadłe miał, twarz wychudłą; te oczy i twarz, oprócz wołania pomocy, mówiły jeszcze:

— Jeść — jeść — jeść!...

Z piersi Admy krzyk wypadł:

— Jezu!... Miecz Krwawy!...

Oczy przerażeniem spojrzały, zbielały usta, zdawała się być bliska obłędu.

— Miecz Krwawy!... Jezu!... — powtórzyła raz jeszcze.

Jakiś obraz straszliwy przed jej oczyma się przesunął, bo jęła szeptać:

— Strach!... strach!... strach!...

— Ratujcie, bo go czekają męki, a mnie jeść dajcie!... — omdlewającym głosem wyseplenił karzeł.

— Męki! — powtórzyła Adme.

Czoło w obie dłonie ujęła, jakby chciała zdusić myśli rozsadzające jej czaszkę; zawirowały ściany przed nią, zakręciły się schody — ale nie padła, wzmogła się, nad przerażeniem i bezsilną rozpaczą zapanowała myśl ratunku. Odtrąciła płączącego się u stóp jej i wołającego: „Jeść!“ karła — i wbiegła do porzuconej przed chwilą komnaty, w której pozostał, zaniepokojony powrotem Plichty, pan Symforjan i rozbudzony okrzykiem Admy, Mitras.

Spojrzawszy na nią, zadrżeli obaj. Nie Plichta to wrócił, ale jakaś wieść straszna o nim przybiegła.

— Co tam? co tam, Adme? — spytał Ibraim.

— Ratuj. ojcze! — zawołała i zwaliła się u stóp Mitrasa.

— Mów... mów... mów — co za wieść i skąd ta wieść?

— W ręku Krwawego Miecza... on!...

Nie jęk, lecz krzyk rozdzierający wypadł z piersi Adme. To: on! jak dzwon zabrzmiało — i pękło jak dzwon. Teraz przerażenie wystąpiło i na twarz Mitrasa. Drżeć począł, jakby go zimnica napadła, a bladość śmiertelna obrzękłą okryła twarz. Jasinowski nawet zmartwiał i czuł, jak mu włosy na głowie ze strachu dębem stanęły.

— Kantemir!... — wybełkotał Mitras. — On nikogo nie żywi!

Adme wiła się u stóp ojcowskich, pełnemi garściami wyrywała włosy i szaty targała na sobie.

Jasinowski, opamiętawszy się, do przekonania przyszedł, że był gościem nie w porę. Wprawdzie w wypadkach podobnych nie zostawia się ludzi samych sobie, ale panu Symforjanowi na myśl przyszło, że i do zamku Żółkiewskiego groźna wieść dojść mogła, a jeśli dotąd nic o niej nie wiedzą jeszcze, to on ją przyniesie i może kogoś trzeźwić i uspokajać trzeba będzie. Wymknął się więc cichaczem, do Żółkwi spiesząc, a szepcąc do siebie:

— Boga mi! spodziewałem się tego nieszczęścia. Biedny Plichta!... Starasznie mi go żal!... *Requiescat in pace!...* Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!...

I życzył panu Konstantemu korony niebieskiej, choć ciarki mu po skórze przechodziły na myśl otrzymania tej korony z rąk Kantemirowych.

Adme szalała — Mitras już uspokoił się.

— Straszna wieść — szepnął — ale na to rady niema.

Adme podniosła się z ziemi i stanęła przed ojcem. Straszna była rozpaczą — straszna myślą, która w jej głowie powstała.

— Mówiłeś, że znasz go!... — odezwała się.

— I dlatego rzekłem: rady niema!

— Wierzyłeś zawsze w potęgę złota!

— Kantemir więcej ceni krew chrześcijańską, a do Plichty upodobanie szczególne powziąć musiał, od kiedy ten mu Tatarów jego porzezał.

— Sułtana za pieniądze przekupisz, a cóż tego murzę!

— Byle czem go nie zbyć — mruknął Ibraim.

— Oddaj wszystko, — jęknęła Adme — wszystko! do ostatniego grosza, do ostatniego szeląga!

— Łatwo tobie powiedzieć: oddaj! — Mitras na to.

— Nie powiedzieć, lecz zrobić! — zawołała Adme. — Dawałeś mi złoto, brylanty, perły... Bierz je!

Tu zausznice zrywać poczęła i ciskać o ziemię, perłami miotać, które potrójnym sznurem szyję jej opasywały, z warkoczów iglice, brosze z rąk ściągać i rzucać do stóp Mitrasa.

— Co ty robisz, Adme! na Boga, co ty robisz?... — zakrzyczał kupiec, za łeb się biorąc. — Ten jeden pereł sznur, to sto tysięcy talarów kosztował.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Modlitwa wędrowca.

W przepięknie położonej okolicy leży miasto B. Samo miasto leży w uroczej dolinie, a przedmieścia jego są rozrzucone na niewielkich pagórkach. Cała ta okolica budzi zachwyt, bo pagórki otaczające miasto, pokryte są drzewami i zielenią i zdają się być jednym wielkim przepięknym ogrodem.

Patrząc na to wszystko przyznać trzeba, że cudne zakątki ma Ojczyzna nasza.

Z tego to miasta w piękny, pogodny jesienny podwieczór szedł wędrowiec jakiś, co chwilę przystawając, zdał się napawać wspaniałym widokiem.

Był to starzec może 70-letni.

Twarz jego, choć poorana głębokimi zmarszczkami, piękną była.

Oczy miał jasne, oczy dziecka, przez które przeglądała szlachetna dusza.

Suknia na nim podróżna, sakwy przerzucone przez ramię, a w ręku kij pielgrzyma.

Snać nie obcą była mu okolica, bo przystawając co chwilę, okiem zmęczonym szukał czegoś.

— Jakto — zawołał — niema go, czyżby już upadł ze starości? A może ręka zbrodnicza zbeszcześciła i wyrzuciła go?...

— Jest!... jest!... — woła nagle uszczęliwiony i krokiem szybkim podążył na jeden z pagórków, gdzie otoczony lipami, stał stary, drewniany krzyż, a na nim Chrystus rozpięty.

Przypadł do krzyża, objął go rękoma i głosem drżącym ze wruszenia, szeptał jeno słowa:

„O Chryste, Chryste, jestem!... wróciłem!"

Wszak stąd z tego miejsca, przed laty 40-tu poszedł w świat, na dolę i niedolę, na życie tułacze. Odchodząc, tu pod krzyżem przyrzekł, że nigdy nie sprzeda duszy swojej, ani zdradzi Ojczyzny swej i wróci kiedyś do ziemi ojczystej.

Wrócił i skarby te przyniósł, czyste jak łza, choć czasem pokus tysiące nań czyhało.

— Grzeszny jestem o Panie! — wołał — aleś Ty wielki i miłosierny, Tyś dodał mocy i siły i oto po latach wielu, oczy moje oglądają świętą ziemię rodzinną, wolną Polskę ukochaną, a teraz zabierz mnie Panie, zabierz do siebie, bo ziściły się marzenia moje.

To mówiąc, tulił się do krzyża, jak dziecko do matki łona. Ustami spieczonemi całował nogi święte Zbawiciela i ciągle szeptał jakąś modlitwę. Snać gorąco za coś dziękował lub o coś prosił.

A Chrystus ukrzyżowany, patrzał okiem miłosiernym na siwą głowę starca i zdał się mówić: „Wiernym pozostałeś mi synu, a teraz chodź do mnie, boś spracowany i obciążony a Ja Cię ochłodzę".

Ocknął się wreszcie wędrowiec i z trudem wielkim podniósł się z ziemi, oparł się o kamień stojący obok krzyża, wyciągnął rękę i okiem pełnym miłości, objął całą okolicę, kąpiącą się w złotych promieniach zachodzącego słońca.

Zdał się błogosławić jej.

Jasność jakaś przedziwna bije od całej jego postaci.

Długą chwilę pozostał tak starzec, wreszcie zwrócił się znów do krzyża.

— O Panie!... — wołał — nim zabierzesz mnie do siebie, to usłysz jeszcze prośbę moją, którą wznoszę do Ciebie!

— O Chryste! — wołał — błogosław Ojczyźnie naszej, by wielką i mocarną się stała! Błogosław synom jej! Błogosław pracy rąk ich! Błogosław niwom i łąkom! Błogosław o Chryste! Spraw to o Panie, by znikła obłuda i nienawiść a miłość i zgoda zapanowały. Spraw, by synowie jednej matki, Ojczyzny świętej, dla niej w zgodzie i miłości pracowali. Wszak Ona wszystkich do łona tuli, Ona karmi, Ona poi, Ona matka nasza umiłowana!

Umilkł na chwilę, wyczerpany. Żałość jakaś i ból wybija mu się na twarzy

Jął znów mówić głosem przyciszonym:

— Wiele, wiele widziałem, widziałem i to, że dużo synów marnotrawnych masz Ty matko-Ojczyzno moja. Iluż jest takich, co za misę soczewicy gotowi są zaprzepaścić wiarę i Ojczyznę swoją i wyzuć się z wszelkich uczuć ludzkich.

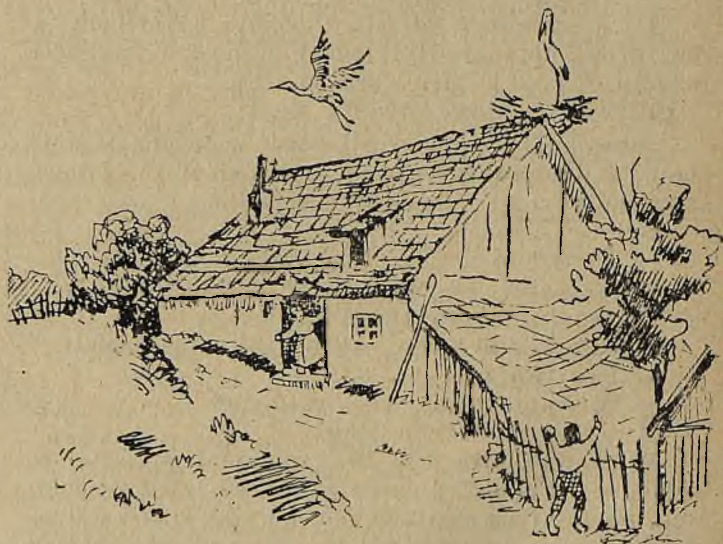
Nie karz ich za to Panie, ale bądź im miłosiernym, bo oni zbłądzili i wrócą znów, choć może po latach wielu, na drogę cnoty i prawości.

To mówiąc, starzec, poraz wtóry upadł przy krzyżu, głowę nisko na piersi pochylił i zdał się zasypiać znużony.

Lekki wietrzyk muskał pieszczotliwie jego srebrne włosy, gdzieś w gąszczu cicho ptaszę zakwiliło i noc ciemna zapanowała. *Ślązaczka.*

Odlot bocianów.

Z Wielkopolski nadeszła wiadomość, że tam zaczynają się już bociany gromadzić, jakby się do odlotu zbierały. Wprawdzie jeszcze to zawczasu, gdyż odlot tych ptaków następuje dopiero w drugiej połowie sierpnia, a czasem dopiero we wrześniu. Ale



wszystko możliwe, gdyż ptaki i wogóle zwierzęta posiadają nadzwyczajny instynkt, który pozwala im przeczuwać wiele rzeczy, jakich człowiek przeczuć nie zdoła. Może być, że mimo gorącego jeszcze lata, one już przeczuwają wczesną i ostrą zimę i sposobią się do dalekiej drogi. A droga ich rzeczywiście daleka. Muszą przebyć nasze Karpaty, całą Słowaczyznę, całe Węgry i Jugosławję, aby dolecieć nad morze Śródziemne. Dopóki podróż trwa ponad lądem stałym, to jeszcze pół biedy, gdyż mogą odpocząć i znaleźć nieco pożywienia, ale gdy się znajdą ponad morzem, tam już dla nich niema odpoczynku. Muszą lecieć bez wytchnienia, póki nie dolecą do żyznego Egiptu, gdzie przyjdzie im przepędzić całą naszą zimę. To też nic dziwnego, że bociany przed odlotem robią niejako przegląd sił swych towarzyszy i co słabszych wykluczają od dalekiej podróży.

Na zamieszczonym powyżej obrazku widzimy chatę wiejską, na której bociany usłały swe gniazdo, które wkrótce na kilka miesięcy będą musiały pożegnać, aby znów z wiosną doń powrócić celem wychodowania młodego pokolenia.

Żniwiareczka.



Jedną z najcięższych prac naszego ludu rolnego, to żniwa. Słońce przeważnie sypie swe żarne promienie na wyschniętą ziemię, wiatr zataił się gdzieś w lesie i ani przez moment nie chce pohulać po rozłogich polach, gdzie od świtu do późnego wieczora urocze dziewoje i dorodni chłopcy, pochyleni z sierpami nad zagonem, żżynają bujne kłosy pszeniczki lub żyta. Pot spływa strumieniami z ich lic rozpalonych, a oni ani chwili nie mają na odpoczynek, gdyż wiedzą, że jutro może niebo pokryć się chmurami, może zadeszczyć się na czas dłuższy, a zboże czekać nie może. Nie może czekać, gdyż dorodne ziarna nie chcą dłużej przebywać w swych ciasnych więzieniach, ale radeby corychlej wydostać się na swobodę. To też jeżeli tylko rolnik nie pospieszy się i nie zbierze na czas dojrzałych kłosów, ziarna setkami i tysiącami wysypują się na ziemię, aby później zejść przed czasem, i pójść na marne. A gdyby się nawet nie wysypały, to długotrwała słota może pochylić kłosy ku ziemi, przyklepać je, gdzie zaś, nasiąkłszy wilgocią, zaczynają szybko kiełkować, stając się bezużyteczne dla człowieka. Dzieje się to bardzo często i zżętemi, jeżeli nadejdzie niepogoda i rolnik nie zdąży powiązać źdźbeł w snopy i zabezpieczyć ich przed wilgocią.

Żniwa to praca ciężka dla tego, kto te żniwa sam wykonuje. Ale trudu tego nie odczuwa poboczny obserwator. Bo oto z gromady żniwiarzy dochodzą nas raz po raz to wesołe śmiechy, to frywolne rozmowy, to daje się słyszeć ochocza piosenka. Pobocznemu obserwatorowi wydaje się, jakoby na srebrzysty łan wyszła gromada starych dzieci, które nie jakąś pracę ciężką wykonują, ale bawią się ochoczo. I cóż jest powodem tej wesołości. Oto sama natura zmusza człowieka, aby nie myślał o natężeniu fizycznem, ale pracę swą wykonywał mechanicznie. Gdyby pracownik fizyczny zaczął się zastanawiać nad ciężarem swej pracy fizycznej, za jedną godzinę takby ona go utrudziła, że dalsze jej wykonywanie stałoby się dla niego niemożliwe. Żart, rozmowa, śmiech i ochocza piosenka odwodzą myśli jego od trudu wykonywanej pracy tak, że zdaje się o niej zapominać, a przez to i zmęczenia takiego nie odczuwa, jakieby odczuwał, gdyby pracował w milczeniu.

Na obrazku naszym widzimy rozległe ściernisko, z którego już uprzątnięto zboże, w głębi zaś widne są jeszcze łany niezżętego żyta, które dopiero kładą pokotem nieliczni żniwiarze. Główną część obrazka zajmuje jakaś urocza żniwiareczka. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to pracownica z tej szarej rzeszy, które od świtu do zmierzchu zbierają kłosek za kłoskiem. Raczej jest ona może córką właściciela dworu, która dla zaspokojenia chwilowego kaprysu ubrała się w strój wieśniaczy, aby popróbować tej pracy, na którą dotąd patrzyła tylko z okien rodzicielskiego pałacyku. A może i nie przebrana panienka ze dworu, ale córka zamożnego wieśniaka, która ze względu na dostatek ojca nie musi ciężko pracować. Wyszła na chwilę, raczej z kaprysu, niż z potrzeby, użęła kilka garści kłosów i już zmęczona usiadła, aby nieco odpocząć.

A w czasie odpoczynku zadumała się o nim, który tam gdzieś może jest i może również marzy o niej, a może go niema, a jeno w jej młodych

myślach. Bo wiadomo, że prędzej marzy kobieta o kochanku, gdy go jeszcze nie ma, aniżeli wówczas, gdy on istnieje i w każdej chwili może się znaleźć przy jej boku. Bo natura kobiety okropnie skomplikowana i czasem trudno ją odgadnąć.

MACIEK BZDURA GADA:

Są ludzie na świecie, którzy razem z niescęściem się urodzili. Od samej maleńkości jaz do ostatecnego skonania niescęście za niemi łazi, kieby chłopak za dzieuchami. Jezeli cłek taki stra się je odpędzić, to ono nie ino ze nie odejdzie, ale jesce całą familiję ze sobą sprowadzi i jest jesce więcej tego niescęścia, bo są stare niescęścia i są młode niescęścia.

Do takich niescęśliwych ludzi nalezy takze Wawrzek Bandziok, który prawi, ze z niescęśliwego miejsca wylazł na ten świat i w niescęśliwem dołku go zakopią. Bo i jakze ni ma być niescęśliwy, kiej całe zycie musi harować, nicem ten pies na łańcuchu i nijakiego odpocnienia ni ma. Rano, ledwie słonko kilkadziesiąt kroków na niebo wylizie, juz musi wstawać, mówić pacirz, jeść śniadanie i tak na tem dobre dwie godziny zejdzie. Zdawałoby się, ze pacirz to nie robota. A juści, nie robota, kiedy to wszyćko z głowy trza wygadać, a nic nie opuścić, bo przecie Poniezus nie da się ocyganić, to i nie wódź nas na pokusenie trza umieć i chleba nasego nie opuścić i o przyjdź królestwo zawadzić. Niktórzy to tam pacirz mówią po cichu, ale Wawrzek przecie nie taki bajtała, to wie, ze Poniezus ma swoje siedzenie jesce dalej, jak w Hameryce, to trza do niego głośno wołać, aby posłysał. Drze się Wawrzek na cały pysk, a i tak niewiele pomaga, a cóz dopiro ma pomóc, jak se cłek Ojcenaski pod nosem sepce.

Jesce Ojcenas to pół bidy, Zdrowaśka takze oblizie, ale jak przyjdzie do Wierzę, to se juz trzeba łeb dokumentnie wysilić, aby cego nie przebacyć. Niechby naprzykład cłek takiego Piłata z pąckami opuścił, to ta małpa pewnikiem takby się rozeźliła, zeby drugi raz Pana Jezusa na śmierć skazała. A wtedy co? Całą odpowiedzialność cłekby na siebie wziął.

Jak się juz Wawrzek z pacirzem i śniadaniem uwinie, musi codzień krztynkę babę skunirować, zeby się bardzo nie spanosyła, i znowu zejdzie godzina.

Zdawałoby się komu, ze sprzeklinanie baby codzień to nie potrzebne. Juści! Pofolguj babie ino moment, to nad tobą górę weźnie, ze jak amen w pacirzu juz się z pod niej nie wygramolis. A jak ją codzień, cy trza, cy nie trza, porządnie skunirujes, to się śniej zrobi taki baranek, jak ten, co u krzesnoojca Walantego po kołnirzu łazi. Jesce jak się ją od casu do casu lasicą przejedzie, to jej to na zdrowie wychodzi, bo choć japońskie przysłowie powiada, ze babę trzeba bić kwiatkiem, to nase jest słuśniejse, które mówi, ze jak chłop baby nie bije, to wątroba w niej gnije.

— Na takiej robocie — powiada Wawrzek — cas ci zleci do połednia i znowu jedzenie! Po połedniu trzaby ze dwie godzinki odpocąć, potem pójść do karcmy po tutoń, ze się ani obeźrys, kiedy wiecór nadejdzie, Bez to cłek w tej ciągłej harówce ani nie wie, kiedy mu lata lecą. Ot pięćdziesiątka przysła, cłek się napracował, zestarzał, a nicego nie uzył!

— Bogdaj tam, jak wyście starzy — padam mu na to — kiedy wyście się prawie dopiro urodzili.

— Jakze to? — pyta.

— Ano jak! Padacie, ze macie pięćdziesiąt roków, prawda?

— No juści! Na Zielną akuratnie skońcę.

— Z tych pięćdziesięciu ino połowa się rachuje, to jest dnie, bo w nocy toście spali, to się nie rachuje. Więc zyliście dopiro 25 lat.

— No niby tak! A jakby dobrze posło, to jesce mniej, bo się przecie więcej śpi, jak nie...

— Z tych dwudziestu pięci znowu połowę przespaliście bez połednie, przesiedzeli w karcmie i przepróżniacyli. Prawda?

— No, niby tak!

— Widzicie, ze wam zostaje dwanaście i pół roków. Prawda?

— No, niby tak...

— A widzicie! A te dwanaście roków toście byli maluśkiem chłopakiem, kiedyście ino zbytki robili, a zadnej się pracy nie imali. Prawda?

— Ta juści, ze prawda!

— Bez to uważcie! Dwadzieścia pięć odpada na noce, dwanaście i pół na drzymki poobiednie i próżnowanie, a dwanaście na chłopięce zbytki, więc cóz wam z tych pięćdziesięciu na robotę pozostało? Pół roku! A przecie wiadomo, ze azeby scęście do cłowieka przysło, to trzeba se na nie zapracować. Casem schodzi na tem i kilkadziesiąt lat, a wyście przecie jesce prawie zyć nie zacęli, a juzbyście chcieli, aby scęście do was przysło? Ono wam takie psiapara pieseckie, ze od próżniaków ucieka, jak Magda Paluskowna przed organistą, bo powiada, ze jej jeden brzdąc wystarcy na parę miesięcy. Próbujcie pracować, to i niescęście od was odleci, a scęście samo przyjdzie.

— Odwal! — rozeźlili się Wawrzek — z tobą niktby do końca nie dosedł.

Ale odtąd juz nigdy na wielgą pracę nie narzykali.

Pług.

Wezmą mnie jutro ręce zdrowe,
Ręce zczerniałe i spraskane,
Postawią mnie na łany płowe
Do góry grzbiety skib przewalę:
I wpiję całą się mą duszą
W przymarzłej ziemi blade grudy,
Aż się w świętości skib rozkruszą
I zaczną dyszeć ciężkim trudem.
Na troje ostrze me roztargam,
Niech tną najszerzej dobrą ziemię.
Niech się w niej zdusi moja skarga,
Co w oczach jeszcze rdzą mi drzemie.
Zakreślę sobą wielkie koło,
Objadę roli wszystkie końce
Tak, aby miał gdzie paść wesoło
Najlepszy mój przyjaciel: słońce.
Wryję się sochą w senne pole,
Do orki. A ja spojrzę łanem
Niechaj żyć zaczną w braci kole
Ku ludzi dobrych wiecznej chwale.
Hej, pójdźcie dobre ręce czarne,
Zadzwońcie skoblem w szopy progu:
Kiedy obsiejem łany ziarnem,
Pójdziem się skłonić Panu Bogu.

Adolf Fierla.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Meksyk III.

Jednem z najpiękniejszych miast meksykańskich jest Puebla, właściwie Puebla de les Angelos, jak brzmi całkowita nazwa tego miasta. Rozłożyła ona się



Ogólny widok Puebli.

na płaskowyżu Anahuac, wzniesionym 2.170 metrów nad poziom morza, w uroczym, zdrowym klimacie wśród ogrodów i bardzo żyznych pól. Puebla w obrębie swym mieści przeszło 100 tysięcy mieszkańców, pochodzenia amerykańskiego, indyjskiego i hiszpańskiego. Jest to mieszanina, której jednak na ulicach zauważyć nie można, gdyż wszyscy mieszkańcy tamtejsi na miejscach publicznych używają języka hiszpańskiego. W domu jedynie posługują się językiem ojczystym.

Powiadają, że dawniej w Puebli było tyle kościołów, ile jest dni w roku, obecnie jednak liczba ich bardzo zmalała, chociaż i dziś jest ich tam stosunkowo dużo. Do największych i najpiękniejszych należy katedra. Wybudował ją Juan Herrera na rozkaz



Wejście do katedry w Puebli.

Filipa II. Nad bramą wchodową katedry widnieją po dziś dzień medaljony z białego marmuru, odcinające się na ciemnem tle fasady z ciosu, poczerniałej od starości, przedstawiające Karola V i Filipa II.

Na innym znów kościele zachował się dwugłowy orzeł Habsburgów hiszpańskich.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy ogólny widok Puebli z licznemi wieżycami tamtejszych kościołów, na drugim zaś wejście do wspaniałej katedry, może najpiękniejszego kościoła w całej Ameryce.

Osobliwością Puebli są tak zwane azulejos czyli kolorowe bardzo piękne kafle, wyrabiane w XVI i XVII wieku sposobem arabskim, któremi kryto swego czasu dachy, kopuły, zdobiono ściany na zewnątrz i wewnątrz domów. Najczęściej jest rysunek arabeskowy, czasem jednak widuje się i postaci świętych w niewielkich rozmiarach, ułożone z drobnych kafli na kształt mozajki.

Prócz katedry zasługuje na uwagę jezuicki kościół i klasztor pojezuicki, który rząd zamienił na rządowy uniwersytet, a Jezuitom pozwolił jedynie



Spędzanie bydła z pastwiska.

zajmować celki w ich własnem niegdyś domostwie.

Bardzo ciekawym jest kościół Dominikański, a w nim kaplica różańcowa, sama jak kościół obszerna. Już na podwórzu warto przyjrzeć się św. Michałowi z azulejos i rzeźbionym drzwiom, oraz ścianom zdobnym sztukaterjami. Łuki sklepienia również pokryte stiukową ornamentacją, zaś kaplica Matki Boskiej Różańcowej świeci się od złoceń na stiukach i sztukaterjach, pokrywających zupełnie ściany aż po sam szczyt kopuły.

Puebla jest rajem dla zbieraczy rozmaitych rzadkich przedmiotów. Można tam znaleźć piękne sztychy, bibljoteczne białe kruki, stare sprzęty, ciekawe bronie i t. p. W domu jednego z patrycjuszy pueblańskich jest szopka norymberskiej roboty, a raczej sceny z Narodzenia Pana Jezusa z przeszło tysiącem drewnianych figurek rozmaitej wielkości.

Naogół Meksyk jest krajem dziwnym. Są tam wielkie miasta, liczące tysiące domów i setki tysięcy mieszkańców, ale obok tego są też olbrzymie przestrzenie kraju bardzo rzadko zamieszkałe, lub wcale niezamieszkałe. Są nawet okolice takie, gdzie oko ludzkie nie ujrzy nic, ale to formalnie nic, a tuż obok nich znajdują się urodzajne pola, na których wre praca, niczem u nas w Europie. A znów nieco dalej rozciągają się olbrzymie stepy, na których wypasa się tysiące bydła, pilnowanego przez specjalnych pastuchów na koniach, którzy nie dopuszczają, aby bydło to samowolnie się rozłaziło, a w miarę potrzeby

spędzają je do wsi, skąd idzie w świat, aby służyć człowiekowi za pożywienie. Na trzecim naszym obrazku widzimy właśnie takie spędzanie bydła przez pasterzy.



Jazda dyliżansem meksykańskim.

Przez Meksyk przebiegają liczne koleje żelazne, ale nie tak liczne, jak u nas w Europie. Łączą one przeważnie większe miasta ze sobą, podczas gdy olbrzymie połacie kraju pozostają bez żadnej komunikacji. Zdarza się też często, że podróżny musi przejeżdżać miejscami, gdzie jeszcze nigdy stopa ludzka nie postała. Bogatsi mają swoje powozy i służbę, biedniejszych przewożą z jednej okolicy w drugą publiczne dyliżansy, takie, jaki widzimy na naszym czwartym obrazku. Nie trzeba chyba dodawać, że droga to długa i uciążliwa. Po pustym stepie, lub kamiennych wertepach konie wloką się noga za nogą, posuwając się naprzód powolniej od pieszego człowieka. Od czasu do czasu trzeba zarządzić dłuższy odpoczynek dla strudzonych koni, a i człowiek musi nieco wyprostować pokurczone nogi. Rrzadko tylko gdzie można napotkać jakąś gospodę, gdzieby można nabyć nieco ciepłej strawy. Kto odbędzie raz podróż dyliżansem, ma jej dość na całe życie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ADOLF DYGASIŃSKI.

REICZKA.

I.

Gwarno było w chacie Pawła Głowacza, ptasznika z Bielczy znanego na okolicę. Kosy, drozdy, gile, zięby, szczygły, dzwońce, sikory, czyżyki, przepiórki i inne ptaki, więzione w klatkach, gwizdały, pośpiewywały — każdy po swojemu. Tylko jeden szpak oswojony, imieniem Kuba, swobodnie biegał i fruwał po izbie, ciekawie zaglądał we wszystkie kąty, a nieustannie pokrzykiwał: „Re-i-cko! Re-i-cko!“ — Kocica, stara drzemała na murku pieca i z całem zaparciem się przyrodzonej żądzy rozlewu krwi leniwie mrugała oczyma: ptak mógłby bezkarnie usiąść na jej nosie. To też szpak od czasu do czasu wskakiwał na kotkę, skubał ją, kuł po łbie dziobem dopóty, dopóki nie przeszła na inne miejsce.

Działo się to w pierwszych dniach jesieni ciepłej i pogodnej jak lato. Córka ptasznika, dzieweczka siedmnastoletnia — istna jagódka — krzątała się około komina, warząc wieczerzę. Na środku izby stał parobczak smukły, miętosił w ręku kapelusz czarny spłowiały, opasany sznureczkiem czerwonym, i kiedy niekiedy spoglądał ukradkiem na dziewczynę. Para ludzi młodych prowadziła przed chwilą rozmowę bardzo ożywioną i taką, co to jedno głównie mówi, a drugie słucha i czasem tylko bąknie jakieś słówko. Tym razem Reiczka z zapałem dowodziła Piotrkowi, że łowienie ptaków jest zajęciem niegodziwem, któremu się oddają jedynie „ludzie bez serca“ albo — „z sercem kamiennem“. — Piotrek Sokolik, ptasznik początkujący, słabo coś bronił sprawy łowiectwa. Ażeby zwalczyć przeciwniczkę natarczywą, ciągle powtarzał:

— Toć przecie i twój tatuś łowi ptaki!

Zniecierpliwiło to widać dziewczynę, gdyż z płomieniem w oku podbiegła do młodzieńca i zawołała:

— A tak, łowi, łowi, łowi!... Łowi na moje nieszczęście! Muszę bez ustanku słuchać pisku tych stworzeń biednych, patrzeć, jak się szamocą, rozbijają w klatkach, krwawią, zdychają z niedoli!...

Na tem urwała się rozmowa, prowadzona wśród zgiełku i gwaru więźniów skrzydlatych. Głowaczówna, potępiając ojca, wytrąciła tem samem oręż obrony jego pomocnikowi, który już nie mógł zasłaniać się powagą starego ptasznika, a jednak czuł wyraźnie, że serce „nie kamienne“ bije mu w piersi. Reiczka zwróciła teraz cały swój zapał ku kominowi i ku warzniczkom z wieczerzą.

Kuba ulubieniec siadał na ramieniu dziewczęcia, czepiał się dziobem bogatego warkocza, wyskubywał nitki z gorsetu, dotykał paciorków na szyi, zdawał się wyraźnie przemawiać:

— Mnie tu wszystko wolno!

— Reicko! Reicko! — wykrzykiwał uciesznie.

Piotrek pokonany jeszcze namiętniej miętosił kapelusz, przytem chrząkał, przestąpywał z nogi na nogę. Widocznie miał coś do powiedzenia, a nie śmiał mówić: chował pod korcem prawdę, ponieważ wyznanie jej sprawiało mu trudność. Już był nawet parę razy otwarł usta i nic nie rzekł, tylko połknął ślinę. Drogą takich wysiłków odwaga młodzieńca musiała się wzmagać, gdyż nagle postąpił dwa kroki naprzód i, jakby przestraszony, wyjąkał:

— Toć, gdyby nie ty, jabym nie łowił ptaków...

Dziewczyna zapłoniona od ognia odwróciła się do Piotrka, a w jej oczach wielkich, błękitnych, odbijało zdziwienie.

— Co takiego? — zapytała, świdrując mu wzrokiem w duszy, i także zrobiła dwa kroki naprzód, jakby do potyczki.

On cofnął się nieznacznie, spuścił oczy, milczał. Reiczka zaś szła do niego natarczywie, a spojrzenie jej i cały wyraz twarzy przemawiały:

— Wytłómacz-no mi się z tego, coś powiedział!

Tymczasem Kuba frunął z ramienia dziewczęcia na głowę Sokolika i jął gmerać dziobem w czuprynie gęstej, pokrzykując:

— Re-i-cko! Re-i-cko!

Chłopak spędził ptaka ruchem ręki łagodnym, spojrzał w oczy dziewczyny.

Była bardzo piękna z tem naleganiem wyzywającem, czy rozkazem na ustach prześlicznych:

— Wytłómacz-no się!...

Zdawało mu się, że jest przyparty do muru i musi koniecznie wyznać prawdę.

Rzekł więc nieśmiało, rumieniąc się po uszy:

— Kiej ptaków nałowię, mam wstęp wolny do waszego domu...

Chciał przeto powiedzieć, że ptaki złowione dają mu sposobność widywania Reiczki. W odpowiedzi rzuciła mu oczyma:

— ?... Nic nie rozumiem...



Dziewczyna zapłoniona od ognia, odwróciła się do Piotrka.

Pod jej spojrzeniem opuścił głowę i mówił głosem drżącym, jakby sam do siebie:

— Bo przecie ja okrutnie lubię Reiczkę...

W tej chwili Kuba zaskrzeczał mu nad uchem...

— Re-i-cko!...

— Ty?... Mnie? — pytała strapiona nieco tem wyznaniem niespodziewanem.

— Ha, ha, ha! — śmiała się na całe gardło.

Ale w śmiechu jej można było wyczuć przymus, udawanie wesołości. Czyżby zdołała śmiać się z człowieka, który tak szczerze wyznał: „ja cię kocham?“ Rzecz prosta — udawała.

Sokolik blady milczał i wyglądał jak winowajca, oczekujący na wyrok za popełnione przestępstwa. Wyznał uczucie głęboko tkwiące w duszy, zdradził świętą tajemnicę swego życia: „Reiczko, ja cię okrutnie lubię!“

Czy wolno mówić głośno o tem, co się czci, wielbi z całego serca?... Kto kocha, uważa się za istotę daleko niższą od przedmiotu swojej miłości. W głowie jego tkwiła także myśl, budząca trwogę: — Może wyznanie moje obraża Reiczkę? — I w trwodze, niepokoju, frasunku, pomieszaniu, wybełkotał nareszcie:

— Nie gniewaj się, mojaś-ty...

Oh, bo ten śmiech dziewczyny przytłoczył go, jak góra nieszczęścia!

Teraz, z kolei rzeczy, ona robiła odwrót, cofała się do komina, a jej śmiech był coraz mniej podobny do śmiechu szczerego wesołości. Śmiała się, choć ostatnie słowa Piotrka zupełnie jej odebrały chęć do śmiechu: tknęły dziewczynę w samo serce. Zmieszała się i jęła pośpiesznie, bezmyślnie rzucać na ognisko drwa, gałęzie suche. Nic a nic nie wiedziała, co robi.

Płomień ogromny buchał, a ona nie widziała tego i ciągle go podsycała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Strachy.

Strach przeleciał po wsi, niby płomień po suchej trawie. Kantkiem Pazurem rżnęło coś do rowu na prosto Jaśka Garbatego domu, co to już od jesieni pod trawnikiem leży. Ludzie opowiadali coś tajemniczo po wsi, między sobą. Już dawno dochodziły wieści, że w tym domu straszy, lecz nikt nie chciał w nie wierzyć.

Teraz, jak w cud, wszyscy w nie wierzyli. Dość było spojrzeć na Kantka, ażeby uwierzyć. Chłop na schwał, dawniej wesoły, rozmowny, chodził teraz, jak struty. Z nikim nie rozmawiał, do karczmy przestał chodzić, żonę zaczął szanować, a nawet w niedzielę był w kościele.

Jasiek Garbaty zmarł w jesieni, a chata jego stała pustką, choć we wsi nie było wielu takich, którzy nie mieli własnego dachu nad głową. Jak żył samotny, tak też i umarł. Przed śmiercią nie zrobił żadnego rozporządzenia, któremby swoją chatę komuś przekazał.

Zaraz po jego śmierci wprowadziła się tam dziewka, Magda, z dwoma pędrakami nieślubnemi, z których jednemu podobno był ojcem sam gospodarz Maciek, u którego dwanaście lat służyła. Ludzie się ta temu nie dziwili, bo mu żona wcześnie umarła, a chłop był nikiej smok, to mu się ta za pierzyną i ckliło.

Niedługo tam Magda wybyła. Już na trzeci dzień przybiegła z płaczem do Maćka i prosiła go, aby ją przyjął z powrotem na służbę. Opowiadała straszne rzeczy:

— Wieczorem, — poczęła opowiadać — gdym se jus uśpiła moje bachory, pocęłam odmawiać pacierz i jus byłak przy „umęcon pod Pąckiem“, gdy w tem cosik pras o blachę... Skocyłam, jak oparzona, tu pędraki od zlęku wrzescą, ja tez aze stwardłam, ale nika nic. Uśpiłam dzieciska, alek sama do rana ocek nie zmruzyła. We drugi wiecór siedzę cała pocierpnięta od strachu i mówię se znów pacirze, te, co to inoś księza odmawiają, ale mie drzemota bierze. Nie ległam, nie, tylko na stołku sierota siedziałam drzemiąca. Juz to musiało być dobrze wele północy, bo za chwilę piał ten kogut, coście mi go dali, bocycie Macieju mój za co? Ale co tam, — to juz dawno było. Ja siedzę se sierotą drzemiąca na tym stołku, a tu na raz traach... trach... Zatrzescała, zakiwała się buda, jakby strasny wiater przyleciał, i jus spokój, alem się tak przelękła, ze to jesce dzisiaj na wnątrzu cuję. A dzisiok w nocy, to było najgorzej. Zaś se siedzę na ławce popod oknem i odmawiam pacirze, a patrze do nieba, na ten cyrwony miesiącek, co to na lesie siedział i co chwila spoglądam z wielgaśnym strachem na zegar. Dokumentnie było za dwie minuty dwanaście, uwierzycie mój Macieju, mówiła z największym strachem. prawie patrzę na blachę... aż tu wszyćkie garki hop do góry i ciap nazad na blachę, a z pod blachy wyleciała kula ognia, prosto na moje pędraki, co obok spały... O Jezu... ja ze strachu bęc na ziemię i nie wstałam już do rana. Bachorom się na niescęście nic nie stało, ja zaś tu lecę prosto do was Macieju, prosić was o nowy kwater.

— Cie — cie, może to i prawda, co ty opowiadasz — rzekł Maciek.

— Na moje sumienie, że prawda — rzekła Magda, urażona niewiarą Maćka.

— No, no a dy-ta przyjdź, jakiś kąt się znajdzie, a nie będzie mi tak ckliwo.

Magda pokazała mu zęby i pobiegła coprędzej po dzieci i po parę gratów do domu Jaśka.

Odtąd chata Jaśka Garbatego stała już całkiem pusta. Przechodzący tamtędy późną godziną widywali podobno różne rzeczy. Franek od Wojtysa twierdził, że widział ten ogień na dachu. Staszek od Rzepy widział podobno głowę bez oczu, a stary Dominik, wracając późno do domu, widział całą postać w bieli, podobną do Jaśka Garbatego.

Ludzie jednak wtenczas mało mówili o tym domu i byliby się pewnie z jego tajemnicą oswoili, gdyby nie prawdziwe zrządzenie Boskie. Było to właśnie w sobotę po wypłacie. Kantek Pazur wracał z miasta już setnie podpity, lecz mając jeszcze pieniądze w kieszeni, wstąpił do Kaizermana na jednego.

Żyd, jak zawsze, usłużny, zaraz nalał Kantkowi kieliszek wódki, tak powiada:

— Ny. wy Kantek już jest późny godzin, to se wypijcie jeszcze jeden „bolszewik" na tego strach, co siedzi w Jaśkowe bude — tfu...

Nalał też zaraz drugi kieliszek, choć wiedział dobrze, że żona Kantka nie będzie miała jutro soli do ziemniaków.

Gdy już Kantek przepił wszystkie pieniądze, żyd wyrzucił go na dwór.

Odgrażając się żydowi, szedł Kantek silnie podpity do domu Franciszka, w którem mieszkał wraz z żoną i dziećmi.

Droga mu wypadła obok Jaśkowego domu. Już mijał ten dom złowrogi, gdy coś ścisnęło go za gardło i rżnęło nim do rowu.

Kantek oprzytomniał zupełnie. Widział białą postać, która zniknęła za progiem tego domu.

Chciał się podnieść, lecz nie mógł. Czuł w sobie straszną niemoc, a włosy mu dębem stawały na głowie. Teraz dopiero przypomniał sobie wszystko, co o tym domu kiedykolwiek słyszał. Leżał bezsilny, jak niemowlę, z oczyma wytrzeszczonemi, na ten złowrogi dom.

Tak przeleżał do świtu. Gdy słońce pierwszym promieniem drasnęło ziemię, Kantkowi wróciła siła. Powstał, lecz powstał innym człowiekiem. Chciał kląć całą przygodę — nie mógł, chciał się modlić — nie umiał, wreszcie uczynił znak krzyża przed sobą i ruszył do domu.

W domu żona czyniła mu wymówki, że znów przepił wszystkie pieniądze. Lecz o dziwo, on zamiast się kłócić, jak to zwykle czynił, prosił ją, aby mu jego postępek jeszcze ten raz darowała.

Żona uśmiechnęła się przez łzy, nic już nie mówiąc. Jeszcze więcej się zdziwiła, gdy on, po nieprzespanej nocy, zamiast iść spać, wyczyścił ubranie i poszedł do kościoła.

Za tak wielką łaskę dziękowała kobiecina ze łzami w oczach Pannie Marji, nie szukając nawet przyczyny, która mogła tak korzystnie wpłynąć na zmianę jej męża.

Po południu mąż zamiast iść grać w karty, jak to zwykle czynił, usiadł przed domem i opowiadał swym dzieciom bajki. które, będąc chłopakiem, słyszał od swojej babki.

Robotnicy fabryczni dziwili się także tej nagłej zmianie Kantka. On pierwej wygadujący na wiarę, stał się jej gorliwym obrońcą.

Na drugą niedzielę rano, poszedł Kantek do pobliskiego klasztoru w miasteczku, aby się wyspowiadać. Powrócił dopiero w południe. Po południu zamiast dzieciom opowiadać bajki, jak to uczynił w tamtą niedzielę, siadł zamyślony pod gruszą, wsparłszy głowę na dłoniach.

Gdy już wieczór zapadł, rzekł łagodnie do żony:

— Słuchaj Kasiu, ja dziś nie zostanę z wami w domu na noc, bo mam do załatwienia pewną sprawę.

— Nie może się przemóc — pomyślała żona, lecz rzekła: — No idź jeszcze dzisiaj, ale nie rozpuść wszystkich pieniędzy, bo widzisz, że w domu bieda.

— Dziś w Browarku zabawa, tam go ciągnie — myślała, zasypiając, żona.

Kantek szedł wolno, lecz nie do Browarku, tylko do domu Jaśka Garbatego. Szedł się modlić za jego duszę, bo zrozumiał, że jemu zawdzięcza swoje nawrócenie. Szedł wolno, rozmyślając.

— Nawet mi nie broniła iść — mówił do siebie rozczulony. — Pewno myśli, żem do Browarku poszedł... a jednak ma wyrozumienie dla człowieka tak upadłego, jakim ja już byłem.

Bez cienia strachu wszedł do chaty Jaśka Garbatego, usiadł pod oknem na ławce i zatopił się w modlitwie.

Zapatrzony w księżyc, który płynął powoli po bezdennem niebie, modlił się długo.

Na chwilę przerwał modlitwę. Spojrzał na zegarek, było pół do dwunastej.

— Za chwilę się zacznie — pomyślał w duchu.

Ukląknął obok ławki i modlił się jeszcze żarliwiej, za duszę Jaśka Garbatego.

Dwunasta dochodziła... zatrzeszczały powały, zachwiały się ściany. zdawało się, że dom cały ruszył się w swoich posadach.

Kantek modlił się dalej spokojnie.

Wtem drzwi się otwarły ze zgrzytem.

— No — teraz moja kolej — pomyślał Kantek, odwrócił się do okna i zapytał głosem spokojnym, chociaż nie widział we drzwiach nikogo:

— Czego żądasz Jaśku?

— Jeszcze jeden pacierz, tylko śpiesz się, bo musisz go przed dwunastą skończyć. Potem ofiaruj to wszystko, coś dziś dobrego uczynił, na moją intencję, a dom ten przejdzie w twoje wieczyste posiadanie.

Kantek odmówił prędko pacierz i ofiarował go wraz ze spowiedzią i modlitwami na intencję pokutującej duszy Jaśka Garbatego.

Ledwie skończył ostatnie słowa, dwunasta zaczęła bić. Nad domem coś zaszumiało, stękło, a wreszcie do góry wzleciało. Była to dusza Jaśka, tu za grzechy swoje pokutująca.

Kantek obtarł pot z czoła, wstał z klęczek i przeszedł się po izbie.

Trzecią niedzielę obchodził już Kantek z rodziną w chacie Jaśka.

Ludzie z początku śmiali się, mówiąc:

— Nie wyjdzie tydzień jak Kantek ucieknie przed strachami do Franciszka.

Lecz mijały tygodnie a Kantek siedział w domu Jaśka i dobrze się mu powodziło.

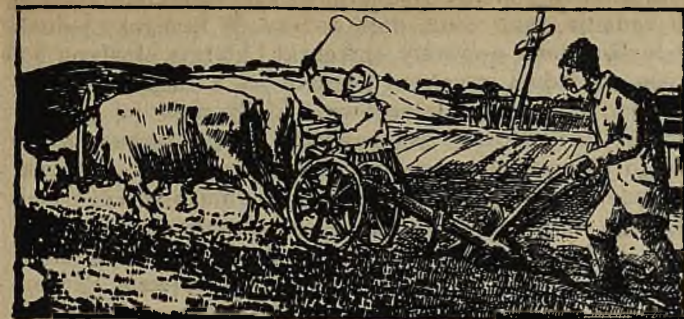
Gdy go raz pytano, czem wygnał strachy, odpowiedział:

— Strachy wygnały ze mnie wódkę, a dały mi wiarę. Ja zaś wiarą wygnał strachy z Jaśkowego domu.

Nikt się nie znalazł taki, któryby mu zazdrościł tego mieszkania, ale owszem wszyscy byli radzi, bo Kantek pić zupełnie przestał, a że był chłop rozumny, więc go następnego roku obrano wójtem.

Magda tylko coś z początku pyskowała, ale pewno temu, bo coś w rok później miała znów małego brzdąca.

Lecz to nie było nic dziwnego, bo Maciek był chłop, nikiej smok. *Józef Foryś.*



Poradnik gospodarczy.

Tomasyna azotniakowana pod oziminy.

Postępowo gospodarującym rolnikom jest oddawna znane, że oziminy w naszym klimacie oraz stanowisku, jakie zajmują w płodozmianie, koniecznie na jesieni zasilane być muszą nawozami azotowemi, a zwłaszcza fosforowemi, jeżeli produkcja tych zbóż ma ilościowo i jakościowo zadowolić.

Lecz racjonalnie pracującemu rolnikowi nie wystarczy to, odróżnia on bowiem między nawozami wymienionemi takie, które przy uprawach jesiennych mają bezsprzecznie pierwszeństwo wobec drugich. Bierze on bowiem tu pod rozwagę długi czasokres wegetacji ozimin, nadmierne opady jesienne i wiosenne roztopy, dalej konieczność ugruntowania się roślin, t. zn. utworzenia silnego systemu korzeniowego i zapobieżenie zbyt silnemu wybujaniu organów nadziemnych u ozimin już jesienią, aby zapobiec wymoknięciu.

Z tych względów z nawozów azotowych preferują przed innemi azotniak, a z fosforowych dają bezwzględnie pierwszeństwo tomasynie. Zastanówmy się nad właściwościami tych nawozów, zasługujących rzekomo na pierwszeństwo przed drugiemi, aby się przekonać, czy istotnie jest to uzasadnione. Otóż wiadomem jest, że azotniak działa powoli ale długotrwale, gdyż wpływ jego na wzrost organów roślinnych, zwłaszcza naziemnych kończy się z chwilą nastania mroźnej temperatury, odkąd przeistaczanie się w glebie składników jego drogą działalności mikrobów na przyswajalne dla roślin pokarmy, ustaje. Mam tu na myśli przemianę mocznika (II faza przemiany) na kwas azotawy i azotowy, jako bezpośrednio zdolne do pobierania ich przez rośliny. Pozostałe nieprzemienione składniki pierwotne azotniaku mają zdolności odporne na wyługowanie z gleby podczas zimy i w tym leży dodatnia cecha azotniaku, tego typowo jesiennego nawozu azotowego. Jak wiadomo, bakterje gleby rozpoczynają swą czynność na wiosnę, przy ogrzaniu się roli i wtenczas azotniak działa znowu na wzrost roślin, stopniowo podnosząc swą skuteczność w miarę ogrzewania się roli. Zresztą ma on wtenczas spory zapas wilgoci glebowej i działanie jego na rozrost liścieni jest intensywniejsze niż jesienią, a więc odpowiadające normalnemu rozwojowi ozimin. Wiadomo bowiem, że zbytni wzrost organów naziemnych już w jesieni jest niepożądany, ba nawet często (nadmiar długotrwałych, leżących na oziminach zwałów śniegów) niebezpieczny.

By wstrzymać w razie długotrwałych słonecznych dni zbyt intensywne działanie azotniaku, już na jesień dajemy nawozy fosforowe i tutaj okazuje się, że tomasyna, mająca dużo wspólnych cech z azotniakiem, jest nawozem fosforowym, zasługującym na bezwzględne pierwszeństwo przed innymi nawozami fosforowymi. Azotniak i tomasyna uzupełniając swą działalność, przyczyniają się jesienią do rozrostu systemu korzeniowego, przy powstrzymywaniu wybujania organów naziemnych, zaczem pomagają rolnikowi do osiągnięcia takiego stanu wzrostu ozimin, jaki jest racjonalny i pożądany. Gerlach, który przed wojną na terenach zachodniej Polski, jako dyrektor stacji doświadczalnej w Poznaniu, prowadził długoletnie doświadczenie nad nawożeniem azotem ozimin dowiódł, że oziminy nie powinny jesienią otrzymać większej dawki nawozów azotowych, jak 10, a maksymalnie 16 kg czystego azotu, t. j. 60 do 100 kg 16% saletry na ha roli. Miał on tu na myśli nawóz łatwo rozpuszczalny i niemniej niestety łatwo wypłukalny. Przy azotniaku niema obaw wypłukania, zaczem dawki mogą być większe, bez obawy zbytniego wzrostu ozimin, ale tylko przy dostatecznej ilości tomasyny, danej jesienią wspólnie z azotniakiem. Nawozy te mają bowiem i tę dalszą wpólną cechę, że powinny być na kilka dni przed siewem zboża rozrzucone i że wspólnie mieszać i wysiewać je można, co powoduje oszczędność na pracy w porze i tak zbytnio przeciążonej dla rolnika.

Jak widzimy, azotniak i tomasyna, mając wspólne dodatnie cechy, są najwięcej podatnemi nawozami pod zasiewy jesienne, zaczem zasługują na pierwszeństwo przed innemi nawozami przy uprawie ozimin. Nie jest to więc utarty zwyczaj, że rolnik w pierwszej linji tych nawozów pod oziminy używa, lecz uzasadniona konieczność, która zniewala go do wyboru tych a nie innych nawozów przy zasiewach jesiennych.

(Dokończenie nastąpi).

Poradnik lekarski.

Surowa czy gotowana strawa?

Wartość spożywczą środków żywnościowych oceniano dawniej wyłącznie podług ilości jednostek cieplnych (kaloryj), wytwarzanych przez nie podczas procesu trawienia. W drugim rzędzie uwzględniano także jeszcze pewne sole odżywcze i składniki pomocnicze, jak witaminy. Nowsze badania wykazały, że wartość użytkowa artykułów żywnościowych jest w wysokim stopniu zależna od stopnia rozgrzania i od czasu, jaki rozgrzanie to trwa. Doświadczenia naukowe wykazały, że organizm ludzki tem więcej przybiera i tem mniej wymaga, im mniej pożywienie zdenaturowane zostało przez proces gotowania. Najwyższą wartość użytkową posiadają potrawy w stanie surowym. Już np. trzyminutowe gotowanie jajka obniża znacznie jego wartość odżywczą w stosunku do jajka surowego. Karmione gotowanemi jajkami zwierzęta wykazywały o połowę mniejszą wagę ciała niż karmione surowemi, mimo, że te ostatnie o połowę mniej jadły, ażeby się nasycić. Tak np. wykazały szczury o równych warunkach fizycznych karmione strawą surową, 2 i 4 godziny gotowaną, po 50 dniach przyrost na wadze o 102, 75 i 50 gramów.

Dochodzenia te są ważne nietylko dla jednostek, lecz także dla gospodarki ogólno-narodowej, ile że przy spożywaniu strawy surowej wzgl. mało gotowanej osiągnąć możnaby oszczędności dochodzące do 30 i więcej procent.

Badania te posiadają także poważne znaczenie dla hodowli bydła opasowego.

KRONIKA.

Od Administracji. Dzisiejszy numer „Roli“ posyłamy jeszcze wszystkim Prenumeratorom naszym II-go kwartału. Następny numer otrzymają już tylko ci Prenumeratorzy, którzy na III-ci kwartał prenumeratę nadesłali lub na czas nadeślą. Prosimy zatem o pośpiech celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce „Roli“.

Śmierć niemowlęcia w płomieniach. Wielki pożar wybuchł w wozowni Dmytra Jakimissyna w Lipinach (pow. Jaworów). Ofiarą pożaru padło śpiące w wozowni 3 miesięczne dziecko Jakimissynów. Pażar przeniósł się następnie na sąsiednie zabudowania Fedka Jakimissyna i zniszczył dwie stodoły i szopę. Pożar powstał przez pozostawienie palącej się lampy w wozowni przez żonę Dmytra, Kaśkę. Szkoda wskutek tego wynikła wynosi około 20.000 zł.

Groźny pożar w Kosowcu. Groźny pożar wybuchł w nocy w stodole Wasyla Hłuszki w Kosowcu (powiat Gródek Jagielloński). Z stodoły pożar przerzucił się na 6 budynków mieszkalnych i 18 budynków gospodarczych. Pożar strawił zabudowania 9 gospodarzy. Szkoda wynosi około 30 tysięcy złotych. Budynki były ubezpieczone. Przyczyny pożaru nie zdołano ostatecznie stwierdzić, są jednak silne poszlaki, że pożar powstał wskutek palenia papierosa w stodole.

Tragiczna śmierć pastucha. W Stupicy (powiat Sambor) wydarzył się grozą przejmujący wypadek. Na pastwisku pasł krowę 7-letni Józef Węgrzynowicz, syn rolnika. Węgrzynowicz w obawie, by mu krowa nie uciekła, okręcił sznur, którym krowa była uwiązana, dookoła swego ciała. W tym czasie zerwała się burza z piorunami. Krowa, przestraszona uderzeniem pioruna, popędziła naoślep przed siebie, ciągnąc za sobą chłopca. W czasie wleczenia pętla zsunęła się na szyję i Węgrzynowicz został uduszony. Krowa z trupem biegła jakiś czas po pastwisku, aż chwycili ją przechodzący tamtędy mieszkańcy. Wszelka pomoc okazała się już spóźniona.

Krwawa walka bandytów. Onegdaj w nocy o godzinie 10·30 przechodnie i mieszkańcy ulicy Zosina Wola w Stanisławowie usłyszeli w pewnej chwili pięć po sobie następujących strzałów, oraz straszny krzyk człowieka, wzywającego pomocy. W ulicy tej pod numerem 125 mieści się szynk Eljasza Grimingera, gdzie weszli o godz. 9 dwaj znani na tamtejszym terenie bandyci i awanturnicy Władysław Domarczuk i Jan Steć i po sutej kolacji, zakrapianej obficie wódką i piwem, wszczęli między sobą kłótnię, w trakcie której Władysław Domarczuk oddał do Stecia 5 strzałów rewolwerowych, z których trzy chybiły, zaś dwoma postrzelił Stecia w lewe udo i brzuch. Natychmiast zaalarmowano Pogotowie ratunkowe i karetka odwiozła śmiertelnie rannego Stecia do szpitala, zaś za Władysławem Domarczukiem zarządzono pościg.

Straszna zbrodnia na wsi. Onegdaj w cichej i spokojnej wiosce Hołostkowie pow. Tłumacz rozegrała się straszna tragedja rodzinna, która wywołała wśród tamtejszych mieszkańców ogromne wrażenie. Bogaty gospodarz tamtejszej wsi Onufry Bodnar zakochał się przed kilkoma laty w pięknej córce gospodarza Joachima Styka, Justynie i w kilka miesięcy ożenił się z Justyną, mimo, że we wsi nieprzychylnie opowiadano o jej dotychczasowem życiu. Onufry Bodnar nie słuchał rad swoich rodziców i przyjaciół i wbrew woli swojej rodziny ożenił się z Justyną. Współżycie ich przez trzy lata było w najlepszej harmonji i Justyna wbrew przypuszczeniom rodziny Bodnara wywiązywała się ze swego zadania, jako żona, dość dobrze. W tym roku jednak w małżeństwie powstały sprzeczki i kłótnie. Justyna bowiem na jednej z zabaw poznała się z niejakim Stanisławem Pachem z Hołoskowa i kiedy mąż jej przebywał na ćwiczeniach wojskowych, często zapraszała do swego domu Pacha, z którym utrzymywała stosunki miłosne. Kiedy Bodnar po 6-ciu tygodniach wrócił z ćwiczeń do domu, dowiedział się o prowadzeniu się jego żony podczas swej nieobecności. Justyna jednak uspokoiła go i opowiedziała mu, że ze Stanisławem Pachem nie łączyły ją żadne stosunki. Mimo to zrodziło się w Bodnarze podejrzenie, począł więc śledzić żonę. Onegdajszego wieczora oświadczyła Justyna swemu mężowi, że idzie do matki, która zachorowała, by dowiedzieć się o stanie jej zdrowia. Zadziwiło to Bodnara, ponieważ zaledwie przed kilkoma godzinami widział się w polu z teściem i ten nie wspominał mu nawet o chorobie swej żony. Kiedy Justyna wyszła z chaty, udał się w ślad za nią i stwierdził, że ta, zamiast udać się do domostwa rodziców, udała się do stodoły rodziców swego kochanka Pacha. Cichaczem wkradł się Bodnar do stodoły i zastał tam swoją żonę na gorącym uczynku ze swoim kochankiem. Doprowadziło go to do strasznego pomysłu, udał się on z powrotem do domu i kiedy po godzinie Justyna wróciła do domu, powiedział jej, że był świadkiem, gdy zdradzała go i porwał za siekierę i strasznym ciosem w głowę rozpłatał jej czaszkę na dwie części. Następnego dnia policja zaaresztowała Bodnara.

Ucieczka córki z pieniądzmi. Przy ul. Paryskiej Nr 6 w Będzinie mieszka pewna przyzwoita rodzina robotnicza, mająca jednakże „felerek“ w postaci 16-letniej córeczki, Franciszki, zdradzającej niedorozwój umysłowy. Mimo wady, a może właśnie dzięki niej, młoda latorośl posiada dziwny pociąg do pieniędzy i gdzie tylko w domu, czy u sąsiadów zobaczy gotówkę, momentalnie ją zabiera, oczywista bez wiedzy i zgody właścicieli. Przed kilku dniami rodzice otrzymali około 5.000 zł. ze spłaty majątku Ponieważ w mieszkaniach robotniczych niema kas pancernych, pieniądze trzymano ukryte w szafie, a jednocześnie obmyślano najlepszy sposób ulokowania gotówki. O pieniądzach dowiedziała się także córeczka i korzystając z nieobecności rodziców, zabrała cały skarb i ulotniła się w niewiadomym kierunku. Zrozpaczeni rodzice zwrócili się o pomoc do policji, która wszczęła poszukiwania. Oczywista dziewczyna wcześniej czy później się znajdzie, niewiadomo, czy nie zdoła już roztrwonić pieniędzy. Na końcu trzeba dodać, iż nazywa się Franciszka Tupak.

Nieudałe włamanie do grobowca. Onegdaj w nocy mieszkańcy wsi Żulin (ad Stryj) zostali zaalarmowani odgłosem strzałów karabinowych. Okazało się, że dwaj nieznani osobnicy starali się włamać do grobowca rodzinnego Barańskich, który to grobowiec znajduje się na cmentarzu w Żulinie. Bandytów, którzy pracowali nad włamaniem, spostrzegł niejaki Jabłoński, który zaalarmował pobliski posterunek policji. W chwili, gdy policjanci zbliżyli się do cmentarza, bandyci rzucili się do ucieczki, policja zaś poczęła za nimi strzelać, jednak bezskutecznie. Na miejscu czynu pozostawili rabusie żelazny kół, bagnet wojskowy i magazynek z nabojami rewolwerowemi. Należy zaznaczyć, że w grobowcu tym został pochowany przed siedmiu laty śp. marszałek Rady powiatowej Barański, właściciel dóbr, który posiada na palcach złote pierścienie, przedstawiające dość pokaźną wartość.

Żywa kobieta w grobie. Dozorca cmentarza na Powązkach w Warszawie, obchodząc cmentarz, zauważył świeżo wykopany grób. Zdziwiony, zainteresował się

tem i oczom jego przedstawił się okropny widok. W grobie leżała żywa kobieta, którą była 31-letnia Stanisława Szczepańska. Usiłowała ona pozbawić się życia przez zażycie sublimatu i sama sobie wykopała grób, obok grobu zmarłej przed laty matki. Zamiar się nie udał, a oryginalną desperatkę oddano opiece szpitala.

Krwawa tragedja rodzinna. W Łęczycy rozegrała się straszliwa tragedja rodzinna, która wywarła w tej miejscowości wstrząsające wrażenie. U krewnych swych spędzał wywczasy letnie Łodzianin emerytowany nauczyciel szkoły powszechnej 47 letni Józef Brzeziński wraz z żoną 23 letnią i 2-letnią córeczką. Brzeziński od dłuższego czasu podejrzewał swą młodą żonę, iż nie dochowuje mu wierności. Na tem tle dochodziło między małżonkami do ostrych kłótni. Onegdaj rano Brzeziński wyszedł wraz z żoną i córeczką na przechadzkę na miejscowy cmentarz. W pewnej chwili dobył z kieszeni rewolweru i celnym strzałem położył swą żonę trupem. Następnie skierował broń do córeczki, którą również zastrzelił, poczem wystrzałem w skroń pozbawił się życia. Kiedy przechodnie, zaalarmowani strzałami, przybyli na cmentarz, zastali już tylko stygnące zwłoki trojga osób.

Dramat małżeński w Tomaszowie. Władze śledcze w Łodzi zaalarmowane zostały wiadomością o straszliwej zbrodni, jaka miała miejsce na przedmieściu Tomaszowa. Przy ulicy Staszica zamieszkiwała rodzina robotnicza 35 letniego Michała Przybysza, składająca się z żony jego 26 letniej Michaliny oraz dwojga dzieci w wieku lat 5 i 7. Małżeństwo było względnie dobrze sytuowane. Niesnaski, jakie od dłuższego czasu toczyły się pomiędzy Przybyszami, miały podkład bezpodstawnej zazdrości. Przybysz podejrzywał swą przystojną żonę o wiarołomstwo. Podczas sprzeczki na ten temat podniecony Przybysz wyciągnął znienacka rewolwer i strzelił do żony, raniąc ją ciężko w głowę.



Widząc leżącą we krwi małżonkę, Przybysz strzelił do siebie, raniąc się śmiertelnie w prawą skroń. Huk wystrzałów zaalarmował sąsiadów, którzy zawezwali policję i lekarza. Obojga małżonków przewieziono do szpitala, gdzie Michał Przybysz wkrótce zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Stan Przybyszowej jest ciężki, lekarze jednak mają nadzieję utrzymania jej przy życiu.

Okropne samobójstwo. Przed kilku dniami popełnił w nocy straszne samobójstwo gospodarz Jan Kędzia z Logoty pod Ostrzeszowem. Cała rodzina Kędzi spała w jednej izbie: na jednem łóżku głowa rodziny z kilkuletnią córeczką, żona jego z mniejszem dzieckiem w drugim narożniku pokoju, dwie zaś dorosłe córki spały na trzeciem łóżku. Około północy żona obudziła się, zdawało się jej bowiem, że słyszy podejrzany jakiś szmer koło łóżka męża. Zawołała na niego, by zbadał przyczynę podejrzanych szmerów, lecz ten odpowiedział jej, że ma spać spokojnie. Gdy jednakże szmery nie ustawały, zaniepokojona tem żona zapaliła światło. Oczom jej przedstawił się straszny, ścinający krew w żyłach, widok. Przerażona kobieta ujrzała męża klęczącego na podłodze z rozprutym brzuchem, z którego wychodziły jelita. W ręce trzymał brzytwę. Na krzyk matki obudziły się i dzieci. W odpowiedzi na okrzyk kobiety: „Co ty robisz?" — mąż uciął sobie brzytwą kawał jelita i rzucił go na bok. Nieszczęśliwca ułożono na łóżko, zawezwano księdza, policję oraz lekarza. W śledztwie denat zeznał całkiem przytomnie, że sam z własnej woli popełnił samobójstwo. Zmarł następnego dnia.

Straszna burza. Z Wilkołaza, pow. Janów Lub., piszą nam: W ubiegłą środę o godz. 1 po południu nadciągnęła od strony południowo-zachodniej straszna burza. Na terenie gminy Wilkołaz uległo połamaniu setki drzew w ogrodach i przy drogach, dziesiątki budynków uległo częściowo uszkodzeniu i zwaleniu. Burzy towarzyszył 20 minutowy ulewny deszcz z gradem i piorunami. We wsi Lipniak, piorun spalił dom mieszkalny gospodarza Janika i poraził jego żonę. W polu zabił piorun kobietę Sławkową, powracającą z lasu z jagodami. Zboża niektóre znacznie ucierpiały. Mieszkańcy gminy Wilkołaz takiej burzy nie pamiętają.

Tragiczne skutki pijaństwa. Z Grodna donoszą: Onegdaj około godz. 7 rano udający się na strzelnicę por. Czesław Gierałtowski z dywizjonu artylerji przeciwlotniczej w Grodnie zawiadomiony został przez przechodniów, że na ul. Dominikańskiej biją się sierżant z wojsk samochodowych i plutonowy K. O. P., obaj pijani. Porucznik Gierałtowski udał się natychmiast na wskazane miejsce i wezwał obu podoficerów, by udali się z nim do komendy miasta. Wezwani odmówili posłuszeństwa i poczęli uciekać w stronę magistratu. Oficer puścił się za nimi w pogoń. Podczas ucieczki pijany plutonowy, jak się okazało, Herman Nowakowski, szofer płk. Kalabińskiego z brygady K. O. P. dobył rewolweru i począł grozić por. Gierałtowskiemu. Oficer dopadł plutonowego na ul. Wyzwolenie i wezwał do oddania broni. Plutonowy strzelił, na szczęście chybił. Wówczas por. Gierałtowski również dobył rewolweru i czterema strzałami położył plutonowego trupem na miejscu.

Pies sprawcą katastrofy. Pod Chełmżą wydarzyła się katastrofa motocyklowa, w czasie której zginęła żona dyrektora tamtejszego gimnazjum. Pod motocykl dostał się pies, co spowodowało katastrofę. Dyrektor gimnazjum został lekko ranny, małżonka jego poniosła śmierć na miejscu.

Fantastyczne przepowiednie uczonego rosyjskiego. Słynny astronom rosyjski prof. Stratonoff, bawiący w Pradze, omawia w prasie tamtejszej możliwość przyszłej komunikacji z gwiazdami, i emigrację mieszkańców ziemi na inne planety. Stratonoff przypuszcza, że za kilkaset lat przeludnienie ziemi doprowadzi do tego, że ludzie zaczną na serjo myśleć o emigracji na inne planety tak, jak w chwili obecnej aktualna n. p. jest emigracja już nie do Stanów Zjednoczonych, ale, nawet w okolice podbiegunowe. Ludzie będą musieli oczywiście wybrać wówczas taką planetę, której warunki życiowe będą podobne do tych, jakie są na ziemi. Prawdopodobnie udadzą się na Wenus, której temperatura odpowiada przecież mniej więcej temperaturze panującej w okolicach naszego równika. Pozatem Wenus posiada dostateczne zapasy wody, i odpowiada atmosferze o podobnym ciężarze gatunkowym jak i atmosfera na ziemi. Pierwsza fala emigracyjna — jak twierdzi Stratenoff — osiedli się w okolicach biegunów, ponieważ temperatura będzie tam chłodniejsza. Z czasem dopiero osiedlą się ludzie ziemscy i w innych okolicach, a generacja następna rozprzestrzeni się już po całej powierzchni Wenus. Istnieją oczywiście sceptycy, drwiący z przepowie-

dni Stratonoffa. Licząc się z tem, odpowiada na ich możliwe zarzuty, twierdząc między innemi, że problem komunikacji międzyplanetarnej znajduje się już obecnie w takiem stadjum, w jakiem znajdował się 30 lat temu problem komunikacji napowietrznej. Przedostanie się więc człowieka na gwiazdy uważa za pewne w przyszłości. Największą trudnością będzie raczej przystosowanie się człowieka do stale wzrastającej szybkości rakiet. Ta, stale się bowiem wzmagająca szybkość, wywołuje przykre reakcje fizjologiczne, naprzykład krwawienia i t. d. Ale i temu będzie można zapobiedz w ten sposób, że przyszli pionierzy będą się trenowali w specjalnie ku temu zbudowanych aparatach. Będą to aparaty obracające się z największą szybkością około swojej własnej osi.

Trąd w Królewcu. W szpitalu w Królewcu lekarze stwierdzili u pewnego robotnika wypadek trądu. Szpital został natychmiast izolowany. Ludność królewiecka jest bardzo zaniepokojona z powodu wypadku, tembardziej, że dotąd nie udało się ustalić, jak długo chory nosił w sobie zarodki tej choroby. Obawa rozprzestrzenienia się trądu jest tem większa, że robotnik ów był przez dłuższy czas bezrobotny i wobec tego zmieniał kilkakrotnie miejsce zamieszkania.

Nowy wampir z Düsseldorfu. W okolicach Meklemburga dokonano strasznej zbrodni. Morderstwo przypomina mordy Kürtena, straconego przed kilku dniami. Odrazu też ochrzczono zbrodniarza nowym upiorem z Düsseldorfu. Zbrodni dokonał żebrak wędrowny, który pod nieobecność rodziców wtargnął do domu i steroryzował dzieci od 4 do 10 lat. Na widok rabującego żebraka, dzieci poczęły krzyczeć. Gdy jednak pomoc nie nadchodziła, żebrak 10-letnią dziewczynkę zawlókł do kuchni i znęcając się nad nią w straszny sposób, poderżnął jej nożem kuchennym gardło. Po dokonanym rabunku żebrak umknął. Niebawem zdołano jednak ująć zbrodniarza, którego policja musiała bronić przed atakami rozwścieczonych wieśniaków.

Zaburzenia antyżydowskie w Salonikach. W związku z ekscesami antyżydowskiemi w Salonikach, sytuacja w ostatnich dniach znacznie się zaostrzyła. Po zdemolowaniu przez nacjonalistów greckich głównego lokalu „Makkabi" i pobiciu członków tegoż, w niedzielę tłumy nacjonalistów wtargnęły do osiedla żydowskiego Campell i podpaliły je z kilku stron, oblewając domy naftą i benzyną. Między oddziałami policji, a nacjonalistami i broniącymi się żydami doszło do wymiany strzałów rewolwerowych, w rezultacie czego kilkanaście osób zostało lżej lub ciężej rannych, w tem 1 policjant i 1 wojskowy. Aby nie dopuścić przybyłej dla gaszenia ognia straży pożarnej, nacjonaliści greccy ułożyli na ulicach barykady i strzelali do straży z rewolwerów. Kilka baraków żydowskich spłonęło doszczętnie, pozostawiając 54 rodzin żydowskich bez dachu nad głową. Rząd grecki wydelegował do Salonik ministra sprawiedliwości, celem przeprowadzenia śledztwa i zdania sprawy z przebiegu wypadków.

Żmije na okręcie. Pełną grozy przygodę przeżył niedawno pewien angielski oficer marynarki handlowej. Okręt, na którym służył, zdążał z Anglji do Indyj. O cztery dni drogi przed Bombajem zauważono na morzu jakiś statek, płynący w przeciwnym kierunku. Gdy nie odpowiedział na zwykłe powitanie żeglarskie, zaczęto mu się bacznie przyglądać. Okazało się wówczas, iż jest on zdany na łaskę losów, gdyż na pokładzie nie widać było nikogo z załogi. Postanowiono więc wysłać łódź z kilku marynarzami, którzy zbadaliby wymarły okręt. Na wołanie marynarzy odpowiedziało znów głuche milczenie. Zaintrygowani marynarze wspięli się na pokład pod wodzą oficera, który przygodę tę opisuje:

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się być w porządku. W tem jeden z majtków krzyknął: „Uwaga, żmija!" — Rzeczywiście na pokładzie wygrzewała się potężna kobra. Błyskawicznie oficer posłał jej dwie kule. Stwierdziwszy, iż kobra już nie jest niebezpieczna, z wszelkiemi ostrożnościami udano się do kajuty kapitana. Leżał martwy z wyrazem najwyższego znużenia i przerażenia na twarzy. Dalej leżeli inni członkowie załogi. Wszyscy byli martwi, zginęli od ukąszeń jadowitych żmij. W największem przerażeniu marynarze opuścili pokład przeklętego okrętu, który nie potrzebował już niczyjej pomocy. Znaleziony w kajucie kapitana dziennik okrętowy wyjaśnił całą tragedję. Na ostatniej stronie tego dziennika kapitan nieszczęśliwego okrętu zanotował te tragiczne słowa: „Ciężka burza. Fale ponad pokład. Dwa dni i dwie noce nie opuszczałem stanowiska. Skrzynia, zawierająca ładunek jadowitych żmij, uległa rozbiciu z powodu silnego kołysania się okrętu. Żmije rozpełzły się po całym statku. Są wszędzie. Wczoraj w nocy bosman, dwaj marynarze i chłopiec okrętowy zostali pokąsani i zmarli w męczarniach. Zupełnie wyczerpany kładę się spać. Nie wiem, czy się jeszcze obudzę". I nie obudził się.

Węże stróżami skarbu. Niedawno temu, w pobliżu Oatman (w Kalifornji) w samotnej, opuszczonej chacie, przenocować chciało dwóch robotników zajętych przy minach złota. Kiedy przygotowywali legowisko, zauważyli, że w izbie znajduje się liczna rodzina wężów. Przerażeni spakowali manatki i uciekli. Nazajutrz wysadzili dynamitem chatę i gniazdo wężowe. Po wysadzeniu chaty utworzył się lej głęboki, przyczem okazało się, że lej ten prowadzi do dużej piwnicy. Zaciekawieni, co tam być może, spuścili się w ciemną czeluść i świecąc sobie latarką elektryczną, zauważyli w odległej komorze piwnicy szkielet muła, do którego przytroczona była duża pocztowa torba, owinięta w nieprzemakalne płótno. Robotnicy otworzyli torbę i znaleźli w niej 200 listów z roku 1849. Znaczna ich część adresowana była do niejakiego porucznika George'a H. Whitaker, Compagnie F. pierwszego ochotniczego pułku kalifornijskiego. Inne znów nosiły adresy bądź to męskie bądź kobiece, jak się zdaje, różnych mieszkańców miasteczka Oatman w Kalifornji, którzy już dawno pomarli. W pierwszej chwili nie wiedzieli robotnicy, co począć z takiem znaleźnem. Lecz ich wnet pouczył miejscowy urzędnik pocztowy, że znaczki pocztowe na znalezionych listach przedstawiają dziś miljonowy majątek, ponieważ są to najrzadsze okazy. Istotnie tak było. Gdy wypadek ten stał się głośny, zgłosiło się wielu zbieraczy marek, płacąc znaczne sumy za każdą sztukę. Niektóre osiągnęły cenę 5.000 i 7.500 dolarów. Potem rozkupili te znaczki pocztowe kolekcjoniści i handlarze nowojorscy za okrągłą sumę 3 miljonów dolarów. Znawcy twierdzą, że wśród tych znaczków pocztowych znajdują się okazy o wartości przewyższającej znacznie cenę, zapłaconą przez owych handlarzy. Wypadek znalezienia torby pocztowej z roku 1849 tłomaczą tem, że w owym czasie t. j. w 1849 r. panowały w Oatman i w okolicy całej rozruchy rewolucyjne. Kurjer pocztowy został prawdopodobnie obrabowany i zamordowany, a potem ktoś zakopał w piwnicy, jako bezwartościową, torbę z listami razem z trupem muła.

RZECZY CIEKAWE.

Plenność owadów.

Przyrodnik, prof. Howard, wyliczył, że mucha wylęgła 15 kwietnia, może dać w jednym roku początek szeregowi generacji, których suma przedstawia fantastyczną liczbę 336 tryljonów jednostek. Naturalnie przyjmuje się jako zasadę, że wszystkie jajka wykłują się. Jeżeli przyjmiemy, że mucha mierzy blisko 1 cm. długości, w takim razie 10 generacyj, położonych długością, jeden owad obok drugiego, stworzyłby łańcuch na 3.336 miljonów kilometrów. Inaczej mówiąc, dwudziestokrotną odległość ziemi od słońca. Rój much, przedstawiający sumę owadów dziewiątej generacji przedstawiałby chmurę, w której zniknęłaby zupełnie wieża Eiffel.

A coby to było, gdyby np. słonie, hipopotamy, żyrafy lub lwy i tygrysy tak się mnożyły jak muchy?

Jak polują ryby?

Nietylko ludzie, nietylko cztero i dwunożne drapieżce urządzają sobie polowania, ale czynią to i inne stworzenia, aby głód swój zaspokoić, nie bacząc na to, że aby utrzymać siebie przy życiu, pozbawiają tego życia inne stworzenia.



Pasiecznikom dobrze jest znane polowanie ropuch na biedne pszczółki. Oto obok ula usiada sobie cichutko obmierzła ropucha i bez ruchu czeka, kiedy spadnie na ziemię pszczółka, obciążona słodyczą. Wysuwa wówczas momentalnie swój lepki język, do którego przylepia się pszczoła i wciąga ją do swego pyska.

Innego rodzaju polowanie urządzają sobie ryby. Oto n. p. taki szczupak potrafi godzinami tkwić w jednem miejscu, póki nie nadpłynie jakaś zdobycz, aby paść ofiarą żarłoka. Podobnie bałtyckie flondry. Te już nie godzinami, ale całe swe życie leżą spłaszczone na dnie morza, przybierając nawet jego barwę i tam zupełnie nieruchomo oczekują swej zdobyczy.

Są różne ryby morskie, które swój sport myśliwski wykonują zapomocą mnóstwa mamideł, któremi są obwieszone i upstrzone. Jedną z takich ryb widzimy na naszym obrazku. Nazwa jej łacińska, polskiej nie posiada, brzmi „Lophius naresi". Ma ona na grzbiecie jakby gałązeczki drzewa. Jakieś żyjątko morskie, sądząc, że to jest rzeczywiście roślina, siada na owych gałązeczkach, aby stać się łupem morskiego myśliwego. Widzimy też po bokach tej ryby maleńkie pletwy, które łudząco podobne są do pewnego rodzaju żyjątek morskich. I one są wabikiem dla nieszczęśliwych ofiar żarłocznej ryby.

Ot, widzimy z tego, że każdy sobie radzi, jak może, aby swój apetyt zaspokoić, nie bacząc na to, że to dla innego stworzenia jest katastrofą.

Perfumy.

Najsubtelniejszemi wrażeniami, jakie odbieramy zapomocą naszych zmysłów, są bezsprzecznie wrażenia odczuwane powonieniem. Dlatego to najbardziej ze wszystkich tworów natury lubimy kwiaty, gdyż oprócz pięknych kształtów pieszczących oczy, sprawiają one prawdziwą rozkosz swą miłą wonią. Z chęci przedłużenia upajającego wydechu kwiatów, tak krótko żyjących, powstała sztuka wyrabiania perfum.

Ojczyzną perfum są Indje i Arabja, gdzie rośnie najwięcej kwiatów. Egipcjanie uchodzili zdawna za najlepszych znawców subtelnych zapachów, a kraj ich stał się najważniejszym rynkiem handlowym dla perfum. Nawet mumje owijano w opaski nasycone wonnościami. Faraonowie żyli w ciągłej atmosferze aromatów, a królowa Kleopatra zawdzięcza swym najsubtelniejszym perfumom pozyskanie miłości rzymskiego wodza Antoniusza.

Również Judea, jako kraj położony między Arabją a Egiptem, może uchodzić za ojczyznę perfum. W Biblji spotykamy na każdym niemal kroku wzmianki o wonnościach.

Z biegiem czasu sztuka sporządzania środków, wydających miłe zapachy, przeniknęła do Grecji i państwa rzymskiego. Greczynki miały zwyczaj namaszczania całego ciała wonnościami i oliwą. Podobnie czynili ze swemi członkami zapaśnicy olimpijscy. W Rzymie nadmiernie używano pachnideł w czasie uczt i kąpieli, oraz do perfumowania swego ciała i szat.

Długie wieki mistrzynią w kunsztownem sporządzaniu perfum były Włochy, póki Francja nie odebrała im tego prymatu, która sztukę wyrobu wonności doprowadziła do doskonałości. Znajdują też one zbyt na rynkach całego świata. Dziś Francja eksportuje corocznie ponad 80 tysięcy tonn produktów perfumerji i czerpie stąd miljonowe dochody. *Czesław Wośkowski.*

Rany serca i mózgu.

Znane są nauce liczne wypadki, w których osoby po otrzymaniu śmiertelnej rany w serce zachowały pełną świadomość i zdobyły się na bardzo poważny wysiłek fizyczny. Klasycznym przykładem jest tu cesarzowa austrjacka Elżbieta, zasztyletowana dnia 10 września 1898 r. przed hotelem Beau Rivage w Genewie, w chwili, kiedy udawała się na parowiec. W chwili zamachu cesarzowa potoczyła się i upadła na ziemię, lecz podniosła się zaraz i udała się po schodach na statek. Tutaj wprawdzie opuściła się na ławkę, lecz przytomności nie straciła. Nikt nie przypuszczał, że cesarzowa jest ciężko ranna. Gdy statek ruszył, zauważono krew. Cesarzowa wciąż jeszcze odpowiadała przytomnie na wszystkie pytania i dowiadywała się o zajściu. Dopiero, kiedy ją przeniesiono do hotelu, straciła przytomność.

Podobnych przykładów przytoczyć możnaby bardzo wiele, dostarczyła ich obficie wojna światowa. Co więcej, wiemy dzisiaj, że otwarte rany serca się nieraz goją.

Niebezpieczeństwo ran sercowych do pewnego stopnia zostało usunięte wzgl. zmniejszone, odkąd chirurgja nauczyła się zaszywać rany sercowe. Pozatem poczęto stosować dla ożywienia serca bezpo-

średnią injekcję. W każdym razie wszelki wysiłek fizyczny przy ciężkich ranach serca jest szkodliwy i przyspiesza śmierć.

Rany postrzałowe w serce są bardziej niebezpieczne niż od pchnięć. Medycyna nie zna wypadku, w którymby postrzelony w serce został ocalony, chociaż pewnem jest, że i po przedziurawieniu serca kulą odnośny osobnik ma jeszcze przytomność umysłu, co stwierdzić się dało u samobójców, którzy potrafili sobie kilka kul wpakować w serce.

Mniej niebezpieczne niż strzały w serce, są strzały w głowę lub w mózg. Rany te bynajmniej nie potrzebują rannego pozbawić przytomności i uczynić go niezdolnym do działania. Postrzał, nawet przez sam środek mózgu tylko wtenczas powoduje niezdolność do działania, jeżeli uszkodzone zostały poważniejsze partje kory mózgowej.

Rany od ukłuć w mózg jeszcze łatwiej się goją niż rany, pochodzące od strzałów.

Praktyczne wskazówki.

Orzechy, figi kraje się do ciasta w większe kawałki; za drobno zsiekane tracą smak.

Ażeby podeszwy uczynić jak najtrwalszemi, posmarować je trzy do czterech razy pokostem. Skóra przez natarcie dobrym pokostem dostaje koloru drzewa mahoniowego i staje się nieprzemakalną. Pokost powinien za każdym razem zaschnąć, nim się na nowo skórę naciera.

Mrówki nie znoszą mocnych zapachów. Jeśli więc mrówki pokażą się w mieszkaniu, należy miejsca polać rozczynem amonjaku.

Obuwie kolorowe zniszczone wymyć letniem mlekiem, plamy wytrzeć benzyną, po uschnięciu natrzeć pastą i czyścić jak zwykle wełnianą szmatką.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Czesław Wośkowski** w U.: Teraz nietylko posad nie nadają, ale nawet dotychczasowych urzędników redukują. Może być, że na bezpłatną praktykę przyjęliby. Niech Pan wniesie podanie do Dyrekcji w Krakowie, a stamtąd otrzyma Pan odpowiedź. Tylko, że utrzymanie w Krakowie dość dużo kosztuje. Z nadesłanych prac skorzystamy. — **Staszek** w Ł.: Wierszyk Pański wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów „Roli". — **Franciszek Graczyński** w T.: Wykazy wygranych dolarówek i premjówek budowlanych będziemy zamieszczali od najbliższego ciągnienia. — **A. Sordyl** w Z.: Kryptogram i bilet wizytowy dobre, w Konikówce nieprawidłowe przeskoki. Maciek za podarunek serdecznie dziękuje. Smakowało mu wyśmienicie. — **Franciszek Jaracz** w K.: Zagadki Pańskiego układu leżą w teczce, kiedy jednak będą drukowane, trudno nam oznaczyć, gdyż zagadek mamy bardzo dużo w zapasie. — **Franciszek J. Tryszczyła:** Za nadesłane utwory serdecznie dziękujemy. — **Józef Górecki** w K.: Owszem, zamieścimy, gdyż rzecz zajmująca. — **Jan Brzezicki:** „Historja o cierpliwej Helenie" rzeczywiście bardzo zajmująca. Jeżeli Pan nadeśle jej dokończenie, to opracujemy ją i zamieścimy w „Roli". — **B. W. 153:** I na Pańskie zagadki kolej przyjdzie. W sprawie rozpowszechnienia także „Roli" to najlepiej byłoby, aby Pan zalecił do sprzedaży w sklepie, który ma największy odbyt. Warunki i rabat taki damy, jak wszystkim sprzedawcom w Polsce. Jesienią napiszemy do księdza proboszcza. Za życzliwość dziękujemy. — **Wł. Janczarek** z W.: Wszystko swoją koleją idzie. Nowelę prosimy przysłać, a po przeczytaniu odpowiemy. Trzecie życzenie będziemy się starali uwzględnić. — **Antoni Kozłowski** z Francji: Musi Pan zapytać, czy ta Kasa Stefczyka jeszcze istnieje i czy za przedwojenne wkłady coś wypłacają. Więcej Panu w tej sprawie nie możemy napisać.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Stanisław Gryzełko z B).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto na Ukrainie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Materjał łatwo palny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa na morzu Śródziem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka amerykańska.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto nad Sanem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto znane z bitwy Napoleona
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Utwór muzyczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak wróblowaty.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Szkoła po francusku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasteczko nad Pilicą.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zdrobniałe imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Ameryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasteczko nad Skawą.

Litery początkowe dadzą imię i nazwisko sławnego powieściopisarza polsk.

2. Szarady.

(Ułożył Józef Cieplik z K).

I.

Gdy dawniej ojczyznę naszą napadali wrogowie,
Najgorszy był ten pierwszy drugi, każdy mi to powie,
I znów trzecia i druga, to choroba ludziom znana,
Drugi pierwszy pół trzeci przyrząd do drzew przecierania,
Druga trzecia jagoda, późno w jesieni zbierana,
Całość, to roślina dobrze wszystkim znana.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz).

II.

Trzecie i drugie pół w Paryżu mknie,
Sunie jak wąż i nocą i we dnie,
Weź znowu pierwsze i drugie pół
Przystawią ci tam z przysmakiem stół,
Gdy zaś chcesz się bawić w meteorologa,
Musisz mieć całość — rzecz to nie droga.

III.

Skręca, mija, pierwsze trzecie,
Trzecie pierwsze wspak na świecie,
Jest najmniejszą cząstką przecie,
Pierwsze drugie wspak
To proroczy znak,
Wszystko, gdy jest dziś w kieszeni,
To się człek szczęśliwym mieni.

3. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

kie	dy	ryk	drze	de
nie	wo	rzy	mil	dy
ga	dy	te	u	go
przy	a kie	czy	te	li
nie	łąź	wa	dy	dzia
		dźwie		

Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 24 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 27 „Roli": 1. Logogryf: Historja o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie. 2. Szarady: I. Makary. II. Balasy. III. Jelenie. 3. Zagadki humorystyczne: I. Okrągłego. II. Na dobry dach nie potrzeba żadnej dachówki. III. Pod mokrym. 4. Łamigłówka do uzupełnienia: Januar, Ajacio, wojacy, owijak, Anglja.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Józef Górecki z K., Józef Wrona z B. N., Jan Mastek z W., Michał Depa z K., Jan Szczygieł z L., Ks. Karol Niewiadomski z W., Janina Ochalska z P., Jan Ryś z T., Tekla Seruga z R., Jan Kowalski z B.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Kowalski z B. i Janina Ochalska z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dlaczego TOMASYNA

jest najlepszym nawozem fosforowym pod zasiewy jesienne?

Ponieważ:

Tomasyna jest najtrwalej działającym i dlatego **najtańszym nawozem** fosforowym.
Tomasyna zawiera również 50%. skutecznego wapna, które odkwasza rolę.
Tomasyna przyczynia się do wytwarzania silniejszego ukorzenienia.
Tomasyną nawożone rośliny dobrze przezimowują.
Tomasyna nie zostaje wypłukana z roli nawet przez ulewne jesienne deszcze oraz wiosenne roztopy.
Tomasyna przeciwdziała wyleganiu zbóż
Tomasyna zapewnia dobrą wagę ziarna.

Rolnicy! nie omieszkujcie nawozić wcześnie

TOMASYNĄ!

Pouczających pism, jakoteż szczegółowych informacyj, dotyczących użycia wszelkich nawozów, udziela każdorazowo bezpłatnie

Biuro Rolne „TOMASÓWKA" Poznań — ul. Spokojna 3.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 14 lipca b. r.

Pszenica	27·50—28 00	Słoma długa	5·00—6·00
Żyto .	27·50—28·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	31·00—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	46·00—47·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	52·00—53·00
Siano słodk.	9·00—10·00	Otręby pszen.	15·50—16·00
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	15·50—16·00
Koniczpastew.	11·00—12·00	Mąka czerw.	19·00—19·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 14 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·95 do 1·05 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·10 zł.
Woły . .	od 1·05 do 1·12 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·85 do 0·95 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·50 do 1·70 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·00 do 2.10

Sztuczna węza z głębokiemi komórkami

Węza nasza jest jedną z najlepszych dlatego, że jest wyrabiana na aparacie przezemnie wynalezionym. Dlatego węza ta jest elastyczna i mocna, jak skóra.

Żądajcie bezpłatnie cennika i próbek **węzy sztucznej z głębokiemi komórkami.** 17 arkuszy na kilo.

Adres: E. Radomski, p. Klewań 2.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela bezpłatnie, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Pszczelarze!

Miodarki, podkurzacze, maski, sita, węzę sztuczną, wszelkie inne przybory poleca najtaniej **Michał Popow** (dawniej Gawor) **pracownia blacharska Kraków, Tomasza 2,** w podworcu. Cenniki wysyłam.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak;

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. Do nabycia w Adm. „Roli".

Karpackie Kosy

Dobre, wykończone z styryjskiej stali, w oliwie hartowane. Nadają się do najtwardszych traw i zboża. Forma najdoskonalsza, szerokość 5—6 cm. Ażeby nie ryzykować, daje porękę za każdą kosę, i to pisemną gwarancję, która to kosa może być 2—3 razy klepana, a kiedy nie chciałaby kosić, zamieniam takową na inną bez żadnej dopłaty.

Kto chce mieć dobrą, gwarantowaną kosę, musi sobie zaraz zamówić taką kosę, oprócz tego te kosy nie są w cenach wygórowane, lecz niskie. Cena fabryczna:

Długość w cm.	65	70	75	80	85	90	97.	100 cm.
Cena w złotych	6.—	6.50	7.—	7.40	7.80	8.—	8.50	9.— zł.

Rabat: na 10 = 1, na 20 = 2, na 30 = 4, na 40 = 6, na 50 — 8 kos rabatu.

Taksamo posiadam sierpy, młotki, kowadełka i inne przybory rolnicze. Dla spółdzielni i sklepów daje na dogodnych warunkach. Proszę żądać cenników. Za gotówkę zgóry porto i opakowanie nie doliczam.

Adres: **M. Sidyk, Strutyn Wyżny, p. Rożniatów, woj. Stanisławów.**

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ

Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.

Praktyczne wyjaśnienia listowne. (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n. p.

Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Pracownia stolarska poszukuje chłopca

do praktyki od 17-tu lat.

Bystroń Bolesław poczta Mogilany obok Krakowa.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1'20 zł.